M.B. im. L. W. w Łodzi

Dziś w numerze: WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI **O faraonach, złodziejach i fellachach** ● **Wspominki Bryla** ● HENRYK SZUBERT **Radogoszcz** ● **Proza – debiuty** ● **Pan Jerzy** ● **Zewsząd o wszystkim** ● **Recenzje** ● **Felietony** ● **Konkurs** ● **Nowela**

odgłosy

NAGRODOWA ODZNAKA M. ŁODZI

5 (689)
31. I. 1971 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

FOTO: W. PARYS

WITOLD SŁOTWIŃSKI

Żywotne sprawy środowisk naukowych

OSTATNIE miesiące ub. roku przyniosły w prasie społeczno-literackiej szereg artykułów, podejmujących dość bogaty wachlarz problemów ludzi nauki, ich pozycji społecznej, warunków pracy, polityki finansowej państwa w odniesieniu do nauki. Minione tygodnie — końca 1970 roku i początku roku bieżącego — nie tylko nie zahamowały tego monologu, lecz przeciwnie, „Życie Literackie" z 10. I. 1971 r. zdaje się potwierdzać pozytywne i obiecujące zjawisko — konsekwentnego dążenia do wzrostu roli nauki w nowoczesnym społeczeństwie i państwie socjalistycznym.

Praktyka — ten najbardziej autentyczny sprawdzian wszelakich teorii, założeń i eksperymentów — w okresie sprzed paru tygodni nierzadko spekulatywnych i irracjonalnych — jeszcze raz dowiodła, że nauka jest autorytetem najbardziej godnym zaufania i kto się z nią nie liczy, ten wcześniej czy później musi się spotkać z upartymi faktami, często brzemiennymi w skutki, które każą się cofnąć do pozycji wyjściowej, w celu nadania organizmowi narodowemu i państwowemu harmonijnego, rytmicznego biegu.

Nowe kierownictwo partii z nie spotykaną dotąd energią i zaufaniem do narodu — przystąpiło do porządkowania „spraw Polaków" kompetentnie i po gospodarsku. W zaskakująco krótkim czasie, zdołało ono przekształcić cichy lub zbyt głośny monolog Polaków — w rzeczową rozmowę, „dialog partii z narodem". Ale nie tylko rozmowy są tym charakterystycznym novum. Towarzyszy im mrówcza praca, i jeszcze raz praca, nad odbudowaniem zaufania społeczeństwa do partii, wypracowaniem takiego wariantu modelu stosunków społeczno-gospodarczych najbliższych dni i lat, w którym wysiłek i talent całego narodu i każdego jej obywatela będzie miał oczywisty, sprawdzalny sens i skutek. Dotyczy to — być może — w jeszcze większym stopniu środowiska naukowego.

Ludzie nauki — jak zauważa publicysta — (S. Radziszewski, „Jak kochać uczonych", „Życie Literackie" nr 1, 3. I. 1971 r.) „...ta dziwna uczona społeczność jest

DALSZY CIĄG NA STR. 4

HENRYK ANDERS
RYSZARD HUNGER

CZY ZMIERZCH MALARSTWA?

OD DŁUŻSZEGO JUŻ CZASU — U NAS I GDZIE INDZIEJ — GŁOSI SIĘ TEORIĘ O BLISKIEJ AGONII MALARSTWA. A W SZCZEGÓLNOŚCI O NIEUNIKNIONYM I OSTATECZNYM ZANIKU MALARSTWA SZTALUGOWEGO.

Wedle tej teorii obraz sztalugowy pojawił się w wyniku wynalezienia techniki olejnej. Przez kilka wieków miał rację bytu, ponieważ lepiej od innych gatunków sztuki wypełniał pożądane funkcje: poznawczą, wychowawczą i estetyczną. Informował o wyglądach i wydarzeniach świata zewnętrznego, unaoczniał idee społeczne epoki, zaspokajał potrzebę piękna. Jako obiekt przeznaczony do dekoracji wnętrz mieszkalnych a przy tym dzieło unikatowe, uszlachetniał snobizm prywatnych posiadaczy, a jednocześnie stwarzał im możność codziennego obcowania z wytworami indywidualnych poszukiwań twórczych, z wartościami uznawanymi wówczas za wyjątkowe i trwałe.

W XX wieku warunki życia się zmieniły. Ludzi prawdziwie zainteresowanych sztuką przeważnie nie stać na zakup obrazów. Pokazane na krótko w galeriach albo wracają do autora skazane na zapomnienie, albo stają się łupem spekulantów, albo trafiają do muzeów, gdzie — o ile nie zagracają magazynów — można je oglądać jedynie od święta, w zbiorowisku i w pośpiechu bez szans na skupienie i bez radości intymnej kontemplacji.

Inne sztuki i inne środki przekazu odebrały malarstwu pierwszeństwo w informowaniu o rzeczywistości czy oddziaływaniu na wizję świata. Kontakt z pięknem na co dzień stara się ze swej stro-

Dalszy ciąg na str. 8

ze ŚWIATA

Doroczna konferencja prasowa sekretarza generalnego NZ — U Thanta przyniosła jak gdyby podsumowanie 25 sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych. Rzecz znamienna, że mówiąc o jej wynikach U Thant podkreślił przede wszystkim fakt, iż po raz pierwszy w dziejach tej organizacji większość wypowiedziała się za przywróceniem Chińskiej Republice Ludowej należnych jej praw w ONZ. Świadczy to — zaakcentował — że przybliża się moment zrealizowania jednego z najistotniejszych celów organizacji — uniwersalności. Na pytanie, kiedy to może nastąpić, odpowiedział, że najpóźniej w przyszłym roku, ujawniając jednocześnie, że w sekretariacie organizacji poczyniono już niezbędne przygotowania do przyjęcia ChRL. Tak otwarte postawienie problemu zdumiało komentatorów — zwłaszcza, że w innym fragmencie swego wystąpienia stwierdził wręcz, że w przyszłości niezbędny jest udział sił zbrojnych ChRL, obok sił czterech wielkich mocarstw, w rozwiązywaniu konfliktów światowych.

Wiele uwagi poświęcił U Thant konfliktowi bliskowschodniemu. Obecnie toczące się rokowania znajdują się — jego zdaniem — w niezwykle delikatnym stadium. W tej sytuacji rola wielkich mocarstw nie powinna być nadmiernie eksponowana i zbyt aktywna. Wzrośnie ona natomiast po ewentualnym osiągnięciu porozumienia. U Thant nie wykluczył skierowania w rejon Bliskiego Wschodu sił pokojowych ONZ, składających się m. in. z jednostek czterech wielkich mocarstw, chociaż wyraził jednocześnie pogląd, iż udział sił zbrojnych dwóch supermocarstw mógłby skomplikować sytuację.

Znamienna była również wypowiedź U Thanta na temat sytuacji na Półwyspie Indochińskim. Rozwiązanie konfliktu — podkreślił — może nastąpić tylko wówczas, gdy w Wietnamie Południowym utworzony zostanie rząd, oparty o szeroką bazę społeczną. Sugeruje to wręcz udział wszystkich sił patriotycznych w rządzie, a w tej liczbie także sił powstańczych. Chociaż więc sekretarz generalny nie powiedział wprost, że chodzi o rząd koalicyjny, taki przecież sens ma jego wypowiedź. Przypomnijmy, że postulat ten wysuwa Front Wyzwolenia Narodowego.

Nagabywany przez dziennikarzy U Thant ujawnił także, że nie będzie po raz trzeci ubiegać się o stanowisko sekretarza generalnego NZ (kadencja upływa 30 grudnia). Wywołało to falę spekulacji co do następcy. Francja, którą zawsze denerwował fakt, iż U Thant nie zna języka francuskiego, dała do zrozumienia, że uczyni z tego warunek wyboru nowego sekretarza. Państwa afrykańskie, które liczbowo w ONZ są najsilniejsze, oczekują mianowania na to stanowisko swego przedstawiciela. Kraje azjatyckie i południowoamerykańskie z pewnością niechętnie będą widziały w roli sekretarza Europejczyka, chociaż rząd fiński zgłosił już oficjalnie kandydaturę swego przedstawiciela w ONZ — Maxa Jakobsona, uzyskując poparcie innych krajów skandynawskich. Przypuszcza się, że bardzo aktywne w ustalaniu kandydatury będą kraje arabskie. Wszystko to razem niezwykle komplikuje sytuację i zapowiada wielką batalię o sukcesję po U Thancie.

Do końca roku jednak daleko — zajmijmy się przeto bieżącymi wydarzeniami.

W Warszawie — jak wiadomo — przebywał przewodniczący frakcji parlamentarnej CDU/CSU — Rainer Barzel. Pod koniec ub. roku nie skorzystał on z zaproszenia Brandta, aby uczestniczyć w końcowej fazie rozmów z rządem Polski i wziąć udział w podpisaniu warszawskiego układu. Teraz przybył do naszej stolicy jako gość Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Odbył tu szereg ważnych rozmów — m. in. z Edwardem Gierkiem i Piotrem Jaroszewiczem, wygłosił także odczyt w PISM. Ten ostatni nie daje podstaw do wniosku, że w 5 tygodni po podpisaniu układu między PRL i NRF w stanowisku brandtowskiej opozycji nastąpiła zmiana. Sam jednak fakt przyjazdu ma swą wymowę, świadczy o zainteresowaniu Polską. Z naszej zaś strony zaproszenie jest wyrazem gotowości prowadzenia dialogu z każdym reprezentatywnym kierunkiem w bońskiej polityce.

Temu celowi służy również wyjazd delegacji sejmowej do Bonn.

Warto dodać, że w tym samym czasie inny eksponent bońskiej opozycji — Schroeder przebywał z wizytą w Moskwie.

Dzisiejszy przegląd aktualiów zakończmy, jak rozpoczęliśmy — omówieniem konferencji prasowej. Tym razem prezydenta Pompidou. Zwraca ona uwagę pewnymi niuansami w stosunku do dotychczasowego stanowiska Francji, zwłaszcza wobec europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. Na konferencji tej Pompidou wypowiedział się jednoznacznie za zwołaniem takiego spotkania i realistycznego potraktowania na nim aktualnej sytuacji. Odmawiając stawiania horoskopów co do terminu konferencji — oświadczył jednak, że im szybciej to nastąpi — tym lepiej. Życzę sobie — dodał — aby przygotowania do niej weszły w aktywną fazę. W kontekście tym omówił kwestię berlińską, niezbędność postępu w tej sprawie, co niekiedy jest komentowane jako warunek zwołania europejskiej konferencji.

Odnotujmy także, że Pompidou ani słowem nie wspomniał o problemie wietnamskim, natomiast wiele uwagi poświęcił sytuacji wewnętrznej Francji.

W. SŁAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

Minimilitaryzacja

„FRANKFURTER RUNDSCHAU" — FRANKFURT

Księstwo Lichtenstein (17 tys. mieszkańców) zwiększyło ostatnio swe siły zbrojne o jedną trzecią, to jest z 21 na 28 żołnierzy... Ten zabawny fakt nie wyszedłby poza ramy rubryki drobnych informacji, gdyby nie to, że wszystkie karłowate państewka Europy zachodniej, nie bacząc na swoje minirozmiary, ulegają ostatnio szczególnej manii „rozbudowy sił zbrojnych".

W republice Andora (7 tys. mieszkańców) wszyscy mężczyźni, a jest ich w sumie około trzech tysięcy, zgodnie z konstytucją, są żołnierzami. Oficjalnie, siły zbrojne republiki składają się z szesnastu osób: naczelnika policji i piętnastu policjantów... Granic Andory strzegą hiszpańscy i francuscy celnicy. Od 1278 roku na to małe państwo nikt nie napadł, co nie przeszkodziło jego władcom wcale nie źle zarabiać na każdym światowym konflikcie zbrojnym: podczas pierwszej wojny światowej Andora była centrum międzynarodowego szpiegostwa; w latach drugiej wojny światowej w Andorze nie było ani jednego wolnego łóżka w hotelach. Zajmowali je uciekinierzy ze wszystkich niemal krajów Europy.

Najbardziej stabilna jest armia najstarszej i najmniejszej republiki świata — San Marino. Liczy ona niezmiennie 180 ludzi. Kraj posiada jedną armatę — haubicę, która poza tym znajduje się w... muzeum broni. Dowódcą naczelnym armii jest książę Reiner III, który bardzo energicznie dąży do zwiększenia liczby żołnierzy w republice.

W wielkim księstwie Luksemburg stoi zawsze pod bronią dwa tysiące ludzi plus 500 ochotników w batalionie artylerii, który — notabene — wchodzi w skład sił zbrojnych NATO. W wyniku ostrych kontrowersji na tle dozbrojenia i zwiększenia wojennego potencjału armii luksemburskiej, doszło tam pewnego dnia do głębokiego kryzysu rządowego.

Na zakończenie powróćmy jeszcze do księstwa Lichtenstein, ostatniej monarchii z niemieckim językiem urzędowym. Kraj ten ma bogate tradycje wojskowe: w 1866 roku jego 58 żołnierzy poszło na wojnę austriacko-pruską, zaś powróciło do domu... 59; dowódca tego wojskowego ugrupowania, oficer austriacki, przyjął w międzyczasie obywatelstwo księstwa Lichtenstein... W 1914 roku księstwo ogłosiło tzw. „wieczną neutralność", mimo, że do tej pory znajduje się w stanie wojny z Prusami, które przecież już dawno nie istnieją.

Tajemnica „weneckiego portretu"

„TIMES" — LONDYN

Szeroko znany portret Szekspira, tak zwany „portret wenecki", po żmudnych badaniach rentgenowskich okazał się falsyfikatem XVII wieku. Mimo to, być może, jest on jedynym artystycznym odtworzeniem wielkiego dramaturga, wykonanym za jego życia.

Badana „portretu weneckiego" wykazały ponadto, że podobiznę nieznanego mężczyzny dopiero później przerobiono na portret Szekspira. Szekspirologów fascynuje niewątpliwie fakt godny uwagi, iż ów „wtórny" portret został najprawdopodobniej wykonany przez kogoś żyjącego współcześnie z wielkim Anglikiem, dwanaście lat przed śmiercią Szekspira, jeśli sądzić z daty ujawnionej na odwrocie obrazu. Wprawdzie, niestety, data i podpis w języku włoskim, są mocno wytarte, wskutek czego można odczytać i „1604 rok" i „1684 rok".

Portret ten, sprzedany swego czasu na jednej z aukcji za dwie gwineje, znajduje się obecnie w galerii płócien Królewskiego Teatru Szekspirowskiego w Stratford on Avon.

Zdjęcia rentgenowskie wykazały, że nieznany artysta domalował na pierwowzorze portretu długie włosy i zmienił kształt ramion. Uległ tak że zmianie kąt spojrzenia nieznajomego mężczyzny na portrecie: obecnie spogląda on wprost na oglądających obraz. Wąski, ostro zakończony kołnierz został przerobiony na szeroki i kwadratowy. Został również zmieniony krój ubrania nieznajomego.

Dyrektor galerii płócien w Stratford powiedział, że badania portretu będą kontynuowane aż do ostatecznego wyjaśnienia pochodzenia obrazu. Oczekuje się na rychły przyjazd do Stratfordu eksperta z zakresu włoskich manuskryptów z XVII wieku.

Trudności w wyższych uczelniach USA

„U. S. NEWS AND WORLD REPORT" — WASZYNGTON

Wiele amerykańskich kolegiów medycznych przeżywa głęboki kryzys finansowy. Przyczyna: zmniejszenie pomocy rządu federalnego. I to akurat w czasie, gdy USA odczuwają brak około 50 000 lekarzy.

„Niektóre kolegia medyczne trzeba będzie prawdopodobnie zamknąć, nim wreszcie Biały Dom zrozumie całą powagę tego problemu" — powiedział niedawno doktor Edwin Rogers, dziekan wydziału lekarskiego uniwersytetu Johna Hopkinsa w Baltimore, w stanie Maryland.

Dziekan wydziału lekarskiego uniwersytetu w Saint-Louis nie widzi innych dróg wyjścia z tej finansowej, ślepej uliczki, jak tylko wstrzymanie rekrutacji studentów w roku 1971.

Jest dopiero połowa roku akademickiego, a wydział lekarski uniwersytetu w Waszyngtonie został już zmuszony do czerpania środków finansowych z datków społeczeństwa i chyba wydział trzeba będzie zamknąć.

Dyrektorzy wielu kolegiów mówią, iż przydzielane im subsydia rządowe zmniejszono bardzo znacznie w okresie ostatnich dwóch lat. Wydział lekarski uniwersytetu w Cleveland może tu posłużyć za klasyczny przykład: fundusze federalne, przeznaczone na cele badawcze, zmniejszono z 70 proc. w latach 1967-68 do 56 proc. W tym samym okresie, w kolegium medycznym w Nowym Jorku część budżetu przeznaczoną na prace badawcze, zmniejszono z 32 do 24 procent.

Zaledwie kilka dni temu prezydent Nixon skorzystał z prawa veta i nie dopuścił do przyjęcia rządowego projektu ustawy w sprawie asygnowania 225 milionów dolarów na potrzeby szpitalnictwa i kolegiów medycznych. Jak przewidują specjaliści, pogłębi to i tak już ostry kryzys w zakresie kształcenia młodych lekarzy i co za tym idzie — pogorszy ogólny stan opieki lekarskiej w Stanach Zjednoczonych.

NPD szuka pocieszenia

„SPIEGEL" — HAMBURG

Po niepowodzeniach w ostatnich wyborach do Bundestagu i stracie mandatów w Landtagach Dolnej Saksonii, Hesji i Bawarii, zachodnioniemiecka neonazistowska NPD szuka „pocieszenia" w ulicznych burdach. Prowadząc niewybredną kampanię szczucia przeciwko polityce normalizacji stosunków z krajami socjalistycznymi, NPD sprzyjała powstaniu tak zwanej „Akcji sprzeciwu" — organizacji, której stronnicy rzucili w Wuerzburgu hasło „Brandta pod mur!". W Essen neonazistowska „ochrona" z emblematami „Akcji sprzeciwu" wjechała samochodem ciężarowym w tłum demonstrujących członków związków zawodowych, po czym rozpoczęła bójkę.

Obrazek ten żywo przypomina działalność NPD w okresie kampanii przedwyborczej o zdobycie mandatów w Bundestagu, jesienią 1969 roku. Wprawdzie wódz neonazistów, Adolf von Thadden odżegnał się słownie od wychowanych przez niego zuchów, jednakże nic mu to nie pomogło. Później, kiedy szef „ochrony" NPD w Kassel ośmielił się sięgnąć po broń i neonaziści wszędzie i jawnie zaczęli tworzyć bojówki, działające według recepty hitlerowskich grup szturmowych, wylazło szydło z worka. Stało się jasne, że demagogiczne hasła NPD, dotyczące „prawa i porządków" są pustym dźwiękiem.

O „Akcji sprzeciw" przywódca neonazistowski Thadden powiedział: „Zmiana stosunków politycznych doprowadziła do tego, że coraz więcej ludzi rwie się do czynu. Powinniśmy wskazać im drogę..."

Dokąd ta droga prowadzi, dobitnie pokazały wydarzenia w Wuerzburgu.

Posługując się obłudną demagogią, liderzy NPD próbują „odwrócić od siebie podejrzenia" o stosowanie jawnego terroru i gwałtu. Ale przecież te manewry nie mogą nikogo oszukać. W kierowanym przez socjaldemokratów rządzie kraju Północna Nadrenia-Westfalia poważnie myśli się o tym, aby wyciągając nauki z ostatnich wydarzeń powtórnie rozpatrzyć wniosek o zakaz działalności NPD. Przedstawiciel rządu krajowego powiedział wprost: „Jeśli ostatecznie potwierdzi się, że za kulisami „Akcji sprzeciw" kryją się liderzy NPD, na porządku dziennym stanie konieczność podjęcia decyzji w sprawie dalszej działalności tej partii".

A potwierdzić to nie będzie trudno. Wystarczy być w kwaterze głównej Thadden w Hanowerze, gdzie miejsce haseł zajęły plakaty „Akcji sprzeciw". Według słów Thaddena członkowie partii „pozwolili sobie tylko troszkę upiększyć swój dom"...

● Zewsząd o wszystkim ●

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

★ **TADEUSZ GICGIER** – W sprawie odpowiedzialności

★ **KAROL BADZIAK** – Każdy chce być konwojentem

★ **PIĘĆ LAT KULTURALNEJ ŁODZI** – rozmowa z Kierownikiem Wydziału Kultury Prez. RN m. Łodzi – mgr Wojciechem Boczkowskim

oraz felietony, recenzje, nowela kryminalna.

W EGIPSKIM KALEJDOSKOPIE

O FARAONACH ZŁODZIEJACH i FELLACHACH

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

STAROŻYTNY Egipt zaczęliśmy poznawać w sposób godny najbardziej rutynowanych turystów, pomaszerowaliśmy, mianowicie, do sławnego w świecie Muzeum Egipskiego. Powiem szczerze — sto tysięcy eksponatów większe powinno było wywrzeć wrażenie. Zawinił, jak myślę, niebywały tłok, stanowczo za dużo faraonów, ich żon, sarkofagów, posągów i innych detali na jeden metr kwadratowy, miesza się to wszystko w głowie, traci swój odrębny wyraz. Może tylko wyposażenie grobu Tutch-en-Amona pozostanie mi na długo w pamięci. Nie chodzi o góry złota, którymi się ów faraon otoczył, lecz o niezwykły wdzięk rozmaitych sprzętów, płasko rzeźb i rzeźb, wystawiających najlepsze świadectwo artystom sprzed tysięcy lat. Tutch-en-Amon miał szczęście, albowiem tylko jego grobowiec, jeden spośród tysięcy, nie został złupiony przez złodziei. Zapamiętałem także mumie wielu księżniczek, smutny i niezwykły damski sleeping do wieczności, pamiętam świeżość barw na sarkofagach, posągach i sprzętach, choć przecież minęły dziesiątki stuleci od momentu, kiedy nieznany mistrz położył na nich farbę.

Zabytki w naturalnym otoczeniu są znacznie ciekawsze — to sobie powiedziawszy, ruszyliśmy z Bohdanem Czeszką do słynnych piramid w Gizeh, bo to bardzo blisko, niemal w Kairze. Cheops, który sobie postawił najbardziej okazałą piramidę Egiptu (sto tysięcy ludzi taszczyło 2.3 miliona bloków kamiennych, każdy po 2.5 tony przez bite dwadzieścia lat), nie miał najlepszej opinii u Herodota. Złośliwy Grek pisze o nim w „Dziejach":

„Aż do króla Rampsynita panował w Egipcie ład prawny, jak opowiadali, i Egipt cieszył się wielkim dobrobytem, a po nim król Cheops przywiódł go do skrajnej nędzy. Zamknął on bowiem wszystkie świątynie i naprzód powstrzymał Egipcjan od składania ofiar, następnie wszystkim rozkazał, żeby dla niego pracowali. Otóż jednym wyznaczono, żeby z kamieniołomów w Górach Arabskich wlekli kamienie aż do Nilu. Skoro kamienie przeprawiono na statkach przez rzekę, polecił odbierać je innym i wlec ku Górom Libijskim. Okres dziesięciu lat zszedł udręczonemu ludowi na budowie drogi, po której wlekli kamienie, a którą wybudowali jako dzieło nie o wiele mniejsze, moim zdaniem od samej piramidy... A na budowie samej piramidy upłynął czasokres dwudziestu lat... Tak daleko w swej podłości miał zajść Cheops, że potrzebując pieniędzy, własną córkę osadził w lupanarze i rozkazał jej, żeby zarobiła sobie pewną sumę srebrników (ile, tego nie podawali), i ona wykonywała rozkaz ojca, ale i o tym myślała, aby po sobie samej zostawić pamiątkę, i prosiła każdego, kto ją odwiedził, ażeby podarował jej jeden kamień. Z tych kamieni, mówili, wybudowała piramidę, stojącą pośrodku trzech innych, a przed wielką piramidą"...

Ładne, prawda? Gdyby to nasi dzisiejsi historycy tak barwnie pisali! Nam obu piramida Cheopsa wydała się istotnie potężna, nawiedziły nas przy okazji normalne myśli turystów — jakże oni poradzili coś takiego zmajstrować? Sfinks jest bardzo zamyślony, akurat tak, jak podają przewodniki, ale nie zdołaliśmy przyjrzeć mu się uważnie, nie było warunków. Ledwieśmy wysiedli z samochodów — runęła na nas lawina zwierząt i ludzi z krzykiem i rykiem. Obliczyliśmy, że na jednego turystę wypada w Gizeh trzy wielbłądy, pięć osłów i tuzin rozmaitych co do wieku osobników, domagających się bakczyszu, podsuwających swoje zwierzęta, jako obiekty do fotografowania na tle piramid i Sfinksa. Bardzo szybko zwinęliśmy żagle, stwierdzając słusznie po drodze, że widzieliśmy smutne relikty kolonializmu, resztki podziału na bogaczy z Europy i tutejszą biedę.

Imponujące zaiste pozostałości po dawnym Egipcie, w kształcie rzekłbym czystym, osadzone w miejscach wyznaczonych przez władców, zobaczyliśmy w Luxorze i Karnaku. Ale nie będę tego imponującego zespołu świątyń opisywał, ponieważ należą one do szlagierów we wszystkich przewodnikach turystycznych, opisano je tysiące razy, więc może tylko kilka refleksji. Zespół świątyń w Karnaku przytłacza ogromem, jakby człowiek po to budował, żeby swoją nicość obnażyć. Człowiek i kolumna, człowiek i olbrzymi posąg, czy obelisk — to zestawienie rzuca wyznawcę Ra na ziemię, podnosi natomiast z ziemi faraona i kapłanów. Rzeźba staroegipska, płaskorzeźby, reliefy, doskonałe i precyzyjne, są zimne, podkreślają dystans od zwykłego człowieka, sławią czyny faraonów, lecz nie mają w sobie ani cienia prywatności, nie mówią nic o uczuciach i zwykłej, codziennej pracy.

W Karnaku powróciła do nas Polska. Najpierw w sposób dosyć zabawny. Zajrzeliśmy do maleńkiej świątyni Ptaha, boga zajmującego się kulturą. Bóg nie miał głowy, zupełnie jak u nas. Bardzo pragnęliśmy w pustym miejscu umocować głowę Bohdana Czeszki, ale Bohdan wcale nie chciał zostać bogiem do spraw kultury, woli nosić głowę na swoim karku W świątyni Medinet Habu nakręcał Kawalerowicz swojego „Faraona", a to kilka kilometrów od Luxoru. W tych stronach, dzięki Henrykowi Sienkiewiczowi doszło do małego nieporozumienia pomiędzy naszymi i egipskimi filmowcami. Mamy kręcić „W pustyni i w puszczy", razem z Egipcjanami. Ale oni nie palą się do współpracy, gdyż — jak wiadomo — Nel i Stasia porwali Arabowie, co nie może być prawdą, Sienkiewicz z pewnością się pomylił, tu chodzi raczej o porywaczy — agresorów zza Kanału Sueskiego, trzeba koniecznie zmienić tekst, inaczej z kooperacji nici. Nie wiem, co uczynili nasi filmowcy, wiem jednak, że cuda potrafią robić z literackiego tekstu.

Polska najprawdziwsza pod egipskim słońcem to nasza ekipa archeologów, a raczej architektów, pracujących przy rekonstrukcji świątyni wybudowanej na cześć królowej Hatszepsut. Bardzo piękna świątynia. Przyklejona do skał, grożących w każdej chwili oberwaniem, wznosi się tarasami ku górze. Rzadki rodzaj świątyni, podobne budowali Majowie i Aztekowie. W 1968 roku o mało nie doszło do tragedii, skały obsunęły się, szczęściem, ofiar w ludziach nie było. Obecnie robotnicy egipscy budują ścianę oporową, a nasi architekci i kamieniarze przywracają świątyni pierwotny kształt. Hatszepsut musiała być królową ogromnie ciekawą świata i życia. Na ścianach świątyni łodzie Nilu, okręty, wspaniałe wizerunki kobiet, ale i ludzi zbierających plony, zwykłych ludzi. Oglądaliśmy nieznane ptaki i kraje nieznane, królowa rozwijała żeglugę. Nie dopuszczała natomiast do władzy swojego krewniaka Totmesa. Gdy ją osiągnął — kazał zniszczyć wszystkie wizerunki królowej, takie sobie kawały urządzali władcy Egiptu, no i teraz mamy z tego powodu trochę kłopotów. Jak że odtworzyć postać Hatszepsut?

Nasi architekci, zwłaszcza zaś inżynierowie Mieczysław Samborski i Waldemar Połoczanin, nie szczędzili trudu, aby pokazać nam wszystko, co ciekawe w tym sercu dawnego Egiptu. Zobaczyliśmy więc życie codzienne sprzed tysięcy lat. Groby pisarza królewskiego Nachta i królewskiego rządcy Mena, wykute w skale tuż obok polskiej misji archeologicznej, zachwycają świeżością kolorów, odnosi się wrażenie, że to bujda z tą ich starością, nie dalej niż wczoraj je odnowiono. A to nie bujda. Widzieliśmy ciężką pracę na roli, zbieranie owoców, żniwa, kopcowanie, rybacy zarzucają sieci na ryby, niektóre poznajemy, przypominają nasze okonie lub karpie. A już scena polowania na ptaki jest tak żywa, że dwaj wybitni myśliwi: Bratny i Czeszko, oglądali się za strzelbami, chcieli nam ubić na obiad trochę cyranek.

Trud ludu egipskiego, niewolnicza praca pod okiem ekonomów i pisarzy żywo kontrastowała z tym co widzieliśmy w Dolinie Królów, kilka kilometrów dalej. Dolinę Królów wypełniają po brzegi grobowce, dziś obrabowane i puste. Przypowieść staroegipska mówi:

„Ci, co wznieśli te budowle z granitu, co obmurowali halę w Piramidzie, co tą piękną pracą piękne stworzyli rzeczy... grobowce ich są równie puste jak groby ludzi zmęczonych, którzy umierają na brzegu nie pozostawiając po sobie nikogo bliskiego".

Tak jest w istocie, faraońskie nekropolis zachwyca freskami, płasko rzeźbą, zdumiewa barwami, jest jednak puste, rabusie ludu, nie obronili się przed zwykłymi rabusiami. Budowali we wnętrzu swoich grobowców zapadnie, próbowali wywieść w pole złodziei ślepymi korytarzami, komorami, zdradliwymi pułapkami. Daremnie, prócz Tutch-en-Amona wszystkich wywlekli z grobowców złodzieje, przebijali najgrubsze mury, rozłupywali w niewiadomy sposób najtwardszy granit, poszukując złota. Nigdzie go też tyle nie skradziono co w Dolinie Królów, żadne współczesne napady stulecia nie mogą nawet równać się z tamtymi. W zapiskach europejskich archeologów raz po raz pojawiają się przez cały XIX wiek wzmianki o bandach, rabujących resztki wyposażenia królewskich grobowców, a przecież godzi się pamiętać, że złodzieje rozpoczęli działalność w Dolinie Królów i okolicy — tysiące lat temu. Ileż więc skarbów musieli zgromadzić faraonowie, ile złota,, bezcennych kamieni, skoro dla tylu pokoleń rabusiów starczyło?

Dzisiaj nieliczna już grupka mieszkańców rejonu Deir El Bahari, spokojnych, niegroźnych, próbuje wcisnąć turyście do ręki marne imitacje tamtych skarbów. Dokonała się więc jakaś zła sprawiedliwość, jednych rabusiów ograbili drudzy. Rozważamy ten problem na werandzie domu naszej misji archeologicznej. Jest gorąco, zimowa temperatura Egiptu wysoka, grubo ponad dwadzieścia stopni. W oddali, na tle gór, widzimy świątynię Hatszepsut, a góry zmieniają kolory, jakby były żywe, rano niemal szare, czerwone w południe, teraz poróżowiały, wieczorem będą fioletowe. One jedne zdają się żyć w tym morzu piasku, martwych grobów, domów biednych chłopów egipskich, milczących, ślepych, pozbawionych okien, kominów i drzwi.

Inżynier Samborski wyspecjalizował się już w historii Egiptu. Powiada, że „droga" to dawny prasymbol egipskiej kultury, życie Egipcjan polegało na drodze ku śmierci, lecz śmierć tej drogi w stronę wieczności nie przerywa. Świat wieczności leży naprzeciw niebia i ziemi, można dotrzeć tam i na wieki zamieszkać, jeżeli tylko zmarły dobrze jest wyposażony na drogę. Otóż gigantyczne piramidy, a potem grobowce głębokie na dwadzieścia pięter, wykuwane w granitowej skale — należały do tego wyposażenia. I góry złota, klejnotów, kamieni szlachetnych, sprzęty codziennego użytku. I jeszcze jedno było ważne — zachowanie ciała, stąd balsamowanie zwłok. Dusza, która faraona opuściła — powracała, lecz mogła pomylić ciała, stąd egipski anioł-stróż, pilnujący grobu. On zawsze wiedział, czy odpowiednia dusza wraca do ciała jego pana. Wiara w tak pojęte życie pozagrobowe głuszyła sumienie, niszczyła wszelkie zasady moralnego rozsądku, rozwijała niebywały egoizm królów egipskich i pogardę dla ludu. Puste są ich grobowce, nikogo bliskiego po sobie nie zostawili...

Wracamy do Luxoru przez wieś El Qurna, mijamy i inne po drodze. Pozornie dziwne. Arab stara się nie mieszkać na ziemi, która może urodzić ryż, pszenicę, koniczynę, trzcinę czy słodkie owoce pomarańczy, Arab ucieka ze swoim domem na pustynię, nie chce zmarnować ani skrawka przestrzeni zdolnej do wydania plonów, lepi swoją chatę z nilowego mułu w szczerym piasku. Ciemnoszare pudełka domów, przyklejone do gór, nikną co jakiś czas w gorącym pyle pustyni, smutne, a tak przy tym ubogie, że marna chałupa na naszej wsi, wydaje się pałacem. Jakże więc jest z egipskim fellachem, milczącym i najbardziej pracowitym ze wszystkich chłopów świata?

W Luxorze nie brak wesołych dorożkarzy. Dorożki jak dorożki, przypominają nasze przedwojenne dryndy tyle tylko, że zdobią je z reguły zawsze żywe kwiaty. Otóż jeden z dorożkarzy śpiewał na całą ulicę taką piosenkę:

O, koniu mój, koniu, jakże ciebie kocham,
bo ty mnie żywisz i wozisz bogaczy,
ale dlaczego jesz tak dużo trawy,
koniu, mój koniu, jakże ciebie kocham,
czy musisz jeść tak drogą trawę?

Nie ręczę, oczywiście, za każdy szczegół przekładu, dokonanego na poczekaniu, po prostu biegliśmy za dorożką i podsłuchiwali, nie ulega jednak wątpliwości — to piosenka biedaka, który koniczynę, zwykłą koniczynę ceni na wagę złota. Przypomnijmy jeszcze raz: dokładnie 96 procent Egiptu obejmuje pustynia, na czterech procentach ziemi uprawnej mieszka 97 procent ludności. Bywa, że jeden fedan (0,4 ha) musi wyżywić bardzo liczną rodzinę. Stopa życiowa fellachów jest więc niska, choć nie można mówić o głodzie. Rewolucja naserowska i w tym się wyraziła, że obszarnikom egipskim odebrano ziemię i podzielono między chłopów. Ten jeden fakt podwoił spożycie produktów rolnych na wsi. Lecz widmo głodu może powrócić. Żywiołowy, niekontrolowany przyrost naturalny Egiptu znacznie jest, niestety, szybszy, niż przyrost uprawnej ziemi.

Włóczyliśmy się po barwnych, rozkrzyczanych uliczkach arabskiej części Luxoru, zaglądaliśmy do kafeteryjek i restauracji, przy których nasze wiejskie knajpy geesu wydają się niekiedy pałacami, choć równać się nie mogą smacznością potraw, ilekroć jednak widzieliśmy chłopa siedzącego nieruchomo przy wiązce trzciny, przychodziło nam zawsze na myśl bogactwo dawnych władców Egiptu, po którym nic nie zostało, tylko ów chłop, walczący z pustynią. Jak próbuje Egipt rozwiązać swój dramat społeczny, co już uczynił i co zamierza? Jak dalece na trudnościach tego kraju waży wojna? O tym w następnym odcinku.

Nowy konkurs • Nowy konkurs • Nowy konkurs • Nowy konkurs

WIELCY ŁODZIANIE

Drodzy Czytelnicy! Prezentujemy Wam serię sylwetek postaci historycznych, związanych z Łodzią. Zadaniem Waszym będzie rozszyfrowanie tych postaci. Zasady są takie same jak w konkursie „Czy znasz architekturę Łodzi" — w losowaniu nagród wezmą udział zarówno odpowiedzi tylko na jedno z zadań konkursowych jak i na wszystkie prezentowane w ciągu najbliższych tygodni. Oczywiście systematyczny udział w naszym konkursie zapewnia uczestnikom większe szanse w losowaniu. Odpowiedzi — wyłącznie na kartach pocztowych — należy nadsyłać na adres: **„Odgłosy", Łódź, Piotrkowska 96 — „Wielcy łodzianie".**

Wśród uczestników konkursu rozlosowane będą trzy główne nagrody w postaci bonów towarowych.

I nagroda — 2.000 złotych
II nagroda — 1.500 złotych
III nagroda — 1.000 złotych

oraz pięć wyróżnień w postaci cennych wydawnictw albumowych.

ZADANIE KONKURSOWE nr 5

„Był osobowością bogatą i wielostronną — napisał o nim Mieczysław Jastrun. — Z kart, na których nie spoczną już nigdy jego oczy, choć przez pokolenia będą szły coraz nowe wydania jego książek, przemawia do nas człowiek i poeta bardziej złożony, niż to wydawało się powierzchownym krytykom".

Natomiast Leopold Staff tak pisał o nim: *„Talent ten miał sto barw, sto strun, był zawsze niespodzianką"*. Pisywał także pod pseudonimami: dr Pietraszek, Roch Pekiński, Jan Wim...

JAK BRZMI NAZWISKO TEGO PISARZA?

Żywotne sprawy środowisk naukowych

Dalszy ciąg ze str. 1

co najmniej niegroźna: nie odznacza się żądzą władzy; nie pożąda na ogół bogactw, a więc jest zasadniczo nieprzekupna: jest zadowolona, kiedy się jej nie przeszkadza, a więc wdzięczna jest, kiedy znajduje rozumnego mecenasa. Jej działalność, w przeciwieństwie do agresywnych miernot, o których już Goethe powiedział, że stanowią najbardziej społecznie niebezpieczny element — ma charakter twórczy i zwykle bywa pożyteczna. Jedno ma tylko niesłychanie czułe miejsce, jednego tylko organicznie nie cierpi — irracjonalności i kłamstw".

Wiele jest w środowisku łódzkim spraw, o których winni wypowiedzieć się sami pracownicy naukowi. Są w tym mieście znakomite pióra, a i dociekliwe umysły z pasją drążące tajemne bryły tego, co ma się stać trwałą wiedzą. W cichości swych gabinetów, laboratoriów, pracowni i skromnych mieszkań prywatnych, przez nikogo nie poganiani, bez bodźców ekonomicznych, w czasie niewymiernym, z jednakimi — jak większość społeczeństwa, a najczęściej — jeszcze większymi kłopotami materialnymi — na wzór górnika, fedrują! Czasem chcieliby, marzą o tym, aby ich specjalność, wydział — został zaliczony do kategorii produkcyjnej. Ich marzenia niewiele tu mają wspólnego z interesem osobistym. Zmiana kwalifikacji bowiem pociąga za sobą możliwość przyspieszenia budowy niektórych gmachów uczelnianych, ogólnej poprawy warunków pracy placówki naukowej, co w przypadku Uniwersytetu Łódzkiego — jest zrozumiałe i podobne aspiracje mają głęboki sens społeczny.

Szereg dziedzin nauki tylko pośrednio bierze udział w produkcji. Ale bierze. Mnóstwo spośród nich w licznych krajach, także socjalistycznych, uznawane jest za produkcyjne. Wiadomo, że są one w znacznym stopniu preferowane pod względem finansowym. A nauki społeczne i humanistyczne? A działalność literacka, publicystyczna? Czy określił ktoś w kraju ich kolosalną rolę w kształtowaniu kultury i świadomości obywatelskiej? Jeżeli nawet odpowiemy twierdząco, to praktyka ostatnich lat mówi o stopniowej degradacji wagi słowa drukowanego, zaś wykładane treści poważnych autorytetów naukowych uczelni — nie znajdowały potwierdzenia lub zastosowania w uprawianej do niedawna rzeczywistości pozauczelnianej. Wnioski z tego stanu rzeczy są tematem ostatnich dyskusji, spotkań z góry na dół i odwrotnie. Jeżeli idzie o te „kanały z dołu do góry" to — jak dotąd, w środowisku łódzkim panuje cisza. Dlaczego nasze środowisko na własny temat nie wypowiada się? Skromność? Ależ to skromność ascetyczna! A może tkwią tu głębsze przyczyny tego milczenia? Nim nadejdą odpowiedzi autentyczne — spróbuję poszukać możliwych lub prawdopodobnych.

Przyznajmy, że do niedawna nie było odpowiedniego klimatu do dyskusji. Uczony (i nie tylko on zresztą), aby się publicznie wypowiedzieć — musi być świadom tego, że wywoła to jakiś skutek, że nie trafi w próżnię, że otrzyma jakąś przekonywającą odpowiedź. W przeciwnym razie wypowiedź taka mijałaby się z celem, nie miałaby racjonalnego uzasadnienia. W tym kontekście napawać musi optymizmem fakt, że nowe kierownictwo partyjne, na czele z Edwardem Gierkiem, podobnie jak do całego społeczeństwa polskiego — z pełnym zaufaniem, zwróciło się do ludzi nauki o pomoc w rozstrzyganiu najbardziej skomplikowanych spraw naszego życia gospodarczego i politycznego. Ostatnie dni (m. in. „Trybuna Ludu" z 9. I. 1971 r.) znów przynoszą na ten temat znamienne informacje — zwłaszcza o spotkaniu E. Gierka z kierownictwem Polskiej Akademii Nauk, na którym padła obiecująca wypowiedź I sekretarza KC:

„Koncentrując wysiłki i środki na najważniejszych dla kraju problemach naukowo-badawczych i rozwojowych trzeba będzie jednocześnie dbać o harmonijny rozwój całej nauki polskiej: a także o odpowiednią do potrzeb budującego socjalizm społeczeństwa rolę nauk społecznych i humanistycznych". Dalej — kontynuuje „Trybuna Ludu" — „Edward Gierek dał wyraz przeświadczeniu, że wpływ nauki na życie, i rozwój naszego kraju będzie stale wzrastać, a codzienne rzeczowe kontakty wszystkich instancji partyjnych i organów rządowych ze środowiskiem naukowym będą się pomyślnie zacieśniały" Ten przejaw szacunku dla autorytetu nauki — może być zapowiedzią przyszłych światłych rządów całej partii sprzęgniętej z narodem i kształtującej rodzaj symbiozy polityczno-społecznej w rozstrzyganiu najżywotniejszych spraw bez pomijania różnych form konsultacji z szerokimi kręgami społeczeństwa.

Łódzkie środowisko naukowe, pomimo — najczęściej trudniejszych warunków lokalowych w porównaniu z innymi, starszymi i z tradycjami ośrodkami — dysponuje kolosalnym dorobkiem naukowym, nie zawsze i nie w pełni wykorzystanym. Niewiele o tym dorobku wiemy, a stopień oddziaływania tego poważnego ośrodka na opinię publiczną jest przynajmniej mierny. Publikowane wyniki badań w wąskospecjalistycznych pismach naukowych — czyta grono wtajemniczonych w specyficznym klimacie bibliotek i czytelni zakładowych. Czasem pojawia się na półkach księgarskich jakieś ważne dzieło naukowe. Ale i wtedy mieszkaniec Łodzi czy województwa z trudem lub tylko na zasadzie przypadku dowiaduje się, iż wyszło ono spod pióra kogoś, kto mieszka, być może, na tej samej ulicy, jeżeli nie w tej samej klatce schodowej. Wbrew mniemaniu złośliwców, nie jest to fakt bez znaczenia, dla przeciętnego mieszkańca wielkiego miasta. I nie tylko dla tego „przeciętnego mieszkańca" jakaś szersza prezentacja wyników pracy naukowej i sylwetek ich autorów nie powinna pozostawać obojętna lub „bez większego znaczenia".

Łódzkie środowisko twórcze i naukowe z niepokojem oceniało stan osamotnienia i niedoceniania wyników pracy twórczej i intelektualnej, zwłaszcza w sytuacjach, w których jego obecność była logiczną i zracjonalizowaną konsekwencją — niekiedy — długotrwałego wysiłku jednostki lub całego zespołu kompetentnych ludzi. Wszak — jak to trafnie zauważa cytowany już publicysta — „Ta pasja uczonego, ta bezinteresowna w założeniu jego postawa — żywo przypominająca postawę artysty — najlepsze warunki dla swego rozkwitu znajduje w atmosferze odpowiedniego mecenatu. (...) Jak to tam bliżej było z tym mecenatem państwa na przestrzeni dziejów (a raczej mecenatu władców, gdyż za wszystkim kryją się konkretni ludzie), dokładnie nie wiadomo. Nikt tej sprawy dokładnie nie badał. Można się jedynie z dużym prawdopodobieństwem domyślić, że tylko światli władcy nie bali się uczonych i mieli do nich zaufanie".

Widoczna opieka państwa nad środowiskiem naukowo-twórczym winna wyrażać się — jak wiadomo — nie tylko w wąskopraktycznym wykorzystaniu owoców pracy twórczej z pominięciem takiej satysfakcji jak możliwość publikacji i wymiany myśli w istniejących, dostępnych szerszemu gronu ambitnych i adekwatnych do możliwości środowiska pismach społeczno-literackich i innych. Powszechną tajemnicą jest, że pod tym względem Łódź pozostaje bodajże na ostatnim miejscu wśród miast wydzielonych w Polsce. Pod względem dotacji finansowych nasze miasto ustępuje nawet Nowemu Sączowi, którego stać na finansowanie, doskonale zresztą redagowanego — „Rocznika Sądeckiego". Zaszokowanemu czytelnikowi należy się wyjaśnienie, gdyż może powiedzieć macie przecież „Osnowę"! Otóż mamy i nie mamy, gdyż na skutek cięć, jakie w okresie bezdialogowym dotknęły Wydawnictwo Łódzkie (znaczne zmniejszenie liczby tzw. arkuszy wydawniczych) „Osnowa" jest co najmniej zagrożona.

Ale gdzie, w wypadku likwidacji kwartalnika, łodzianin — pracownik naukowy, pisarz, publicysta — będzie drukował swój materiał, które miasto udostępni mu miejsce sublokatora? Już z komunikacją kolejową tak urządzili mieszkańców Łodzi specjaliści — niełodzianie, że chcąc wyjechać w tzw. sezonie (i nie tylko w sezonie) do atrakcyjnej miejscowości co niektórzy „szczęśliwcy" korzystają ze znajomości w stolicy i nabywają miejscówki, byle w ludzkich warunkach dojechać do celu. Dokąd zamierzamy — tak oszczędzając — dojechać i jakim „pociągiem" — my łodzianie, którym jeszcze nieobca jest ambicja?

WITOLD SŁOTWIŃSKI

Listy do redakcji

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Prezydium Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich zwraca się z uprzejmą prośbą o zamieszczenie tego listu na łamach Waszego pisma, zaadresowanego do wszystkich instytucji i osób, które upowszechniają i recenzują polską literaturę przekładową lub o niej informują czytelników. Mamy na myśli miesięczniki, prasę tygodniową i codzienną, teatry, radio i telewizję.

Rozwój naszych kontaktów ze światem, kulturą krajów bliskich i dalekich, stawia przed tłumaczami polskimi nowe i trudne zadania. Związek Literatów Polskich od lat dokłada starań, aby ułatwić pracę tłumaczom, uczynić ją bardziej atrakcyjną, poprawić ich sytuację materialną. Jesteśmy zaniepokojeni obserwowanym od lat brakiem dopływu młodych, utalentowanych kadr tłumaczy, co niewątpliwie jest rezultatem nagminnego niedoceniania pracy tłumacza, jak i niedostatecznych bodźców materialnych, wcale nie zachęcających do ambitnych przedsięwzięć przekładowych. Stało się smutną regułą, że w recenzjach z przekładów nie tylko nie docenia się pracy tłumacza, ale nazbyt często w ogóle pomija jego nazwisko, tak jakby to nie on był odpowiedzialny za literacki kształt dzieła.

Często spotykanym obyczajem jest również przemilczanie nazwisk tłumaczy w informacjach o tłumaczonych sztukach teatralnych, operetkach, operach i widowiskach wszelkiego rodzaju. Utarła się na przykład praktyka polegająca na tym, że w zapowiedziach premier wymienia się, obok reżysera i scenografa, wykonawców, ale pomija się nazwisko tłumacza, jakby sztuka miała być wystawiona w oryginale. Informuje się kto dokonał adaptacji, ale zapomina o tym, kto rzecz przetłumaczył, nawet czasami, gdy idzie o przekłady arcydzieł literatury światowej.

Niewątpliwie sprawa naszej polityki przekładowej to kompleks ważnych i trudnych spraw, których rozwiązanie wymaga rozwagi i czasu. Ale sprawa, w której występujemy — jest prosta. Trzeba w niej tylko odrobiny uwagi i dobrej woli.

Wyrażamy przekonanie, że zamieszczenie tego apelu w Pańskim poczytnym piśmie, zmieni dotychczasową sytuację na lepsze, zwłaszcza, że — jak wiadomo — listy do redaktorów czytają wszyscy.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
PREZES ZLP

HENRYK SZUBERT

RADOGOSZCZ

Radogoszcz — obecnie dzielnica Łodzi — jest najstarszą z miejscowości, które znajdują się dziś w granicach administracyjnych miasta. Nazwa „Radogoszcz" wywodzi się zapewne od imienia założyciela lub jednego z pierwszych właścicieli tej osady — Radogosta. Wspominają o Radogoszczu dokumenty historyczne z roku 1242 i 1243, z okazji pobytu w nim księcia Konrada Mazowieckiego, uczestniczącego tu w zjeździe książąt polskich. Powyższe wzmianki pozwalają sądzić, że w Radogoszczu znajdował się drewniany gródek obronny, gdzie najprawdopodobniej odbywał się wspomniany zjazd. Wokół gródka rozsiadła się co najmniej niewielka osada, stanowiąca bezpośrednie zaplecze dla radogoskiej fortalicji. W niej rozlokowała się z pewnością służba towarzysząca uczestnikom zjazdu. Możliwe, że gródkowi w Radogoszczu podporządkowane były osady służebne, położone w niedużej odległości od niego, których nazwy — jak Łagiewniki czy Skotniki — przetrwały do dzisiaj. Upewnieniem, że w Radogoszczu istniał gródek może być zaznaczone na mapie z roku 1799 miejsce, które zostało określone jako „fortalicium". Śladem po radogoskiej fortalicji jest chyba zachowane do chwili obecnej zniekształcone grodzisko stożkowate w parku im. Adama Mickiewicza w Julianowie.

Ciekawostkę dotyczącą Radogoszcza stanowi fakt, że do gminy radogoskiej należały niegdyś i podlegały tutejszemu wójtowi Bałuty, które przed włączeniem ich do Łodzi w roku 1915 liczyły ponad 100 tys. mieszkańców i mimo daleko posuniętej urbanizacji, znajdowały się na prawach wsi i zarządzane były przez sołtysa.

Obecnie nazwa „Radogoszcz" kojarzy się nam przede wszystkim z jednym z najstraszliwszych miejsc kaźni hitlerowskich, z istniejącym tu w czasie okupacji obozem. Początki obozu radogoskiego sięgają listopada 1939 r., kiedy to Niemcy na terenie dawnej cegielni Glazera, przy dzisiejszej ulicy Liściastej, zorganizowali odosobnienie dla aresztowanych Polaków. Już w pierwszym okresie istnienia obozu hitlerowcy dokonywali zbiorowych egzekucji na więźniach. Gdy wkrótce pomieszczenia cegielni okazały się za małe, przekształcono na obóz budynek fabryczny z końca XIX stulecia, należący najpierw do Wajsa a później do Abbego, położony przy zbiegu ulic Zgierskiej i gen. Sowińskiego. Obóz w Radogoszczu, przeznaczony dla więźniów politycznych i ludzi oskarżonych o przestępstwa na szkodę Rzeszy, nosił oficjalną nazwę: „Erweitertes Polizeigefaengnis Radegast". Jego komendantem od 1 lipca 1940 r. do końca okupacji w Łodzi był porucznik hitlerowskiej policji Walter Pelzhausen, który w roku 1947 stanął przed polskim sądem i został skazany na czterokrotną karę śmierci.

Więźniowie radogoskiego obozu cierpieli głód, ginęli na skutek chorób i stosowanych wobec nich wyszukanych tortur. Ponosili też oni śmierć w lasach lućmierskich i w innych miejscach straceń. W dniu 20 marca 1942 r. zginęło 100 zakładników z tego obozu podczas publicznej egzekucji na miejskim śmietnisku w Zgierzu (w roku 1969 odsłonięto tu nowy monumentalny pomnik poświęcony tym ofiarom faszyzmu). W czasie istnienia obozu radogoskiego przez jego mury przeszło ok. 40 tys. ludzi, a blisko 30 tys. z nich poniosło śmierć.

Ostatnim aktem barbarzyństwa hitlerowskiego przed opuszczeniem przez Niemców Łodzi było strzelanie do więźniów w trakcie likwidacji obozu i podpalenie gmachu z uwięzionymi rankiem 18 stycznia 1945 r. Ci, którzy usiłowali wyskoczyć z płonącego budynku, ginęli najczęściej od kul niemieckich. Śmierć poniosło wówczas ok. 2 tys. więźniów, a wśród nich kilku Anglików i Rosjan. Trudno jest dokładniej ustalić liczbę ofiar tej ostatniej tragedii radogoskiego obozu, gdyż hitlerowcy uciekający przed wyzwoleńczą ofensywą Armii Radzieckiej i Ludowego Wojska Polskiego, likwidując więzienia i obozy, spędzili do Radogoszcza grupę więźniów ze Skierniewic i Grójca. Z bestialskiej akcji, przeprowadzonej przez hitlerowskich zbrodniarzy w przeddzień wyzwolenia Łodzi, ocalał zaledwie nikły procent uwięzionych. Kilku z tych, którzy przeżyli tę gehennę, schroniło się podczas pożaru do zbiornika z wodą, znajdującego się pod dachem, lub wykonało ryzykowny, ale udany skok na dach sąsiedniego niewysokiego budynku.

Gdy 19 stycznia 1945 r. Armia Radziecka przyniosła wolność Łodzi, oczom przybyłych na teren obozu żołnierzy i mieszkańców miasta ukazał się straszny widok. Przed spalonym gmachem leżały stosy zwęglonych, tlących się jeszcze trupów.

Obecnie na terenie dawnego obozu w Radogoszczu znajduje się Mauzoleum Martyrologii, poświęcone ludziom, którzy tu przed laty cierpieli i utracili swój najcenniejszy skarb — życie. Pamięć o nich zachowują ci wszyscy, którym drogie są wolność i pokój.

Teren dawnego obozu radogoskiego często odwiedzają wycieczki oprowadzane przez łódzkich przewodników PTTK.

KONRAD FREJDLICH

POETYCKIE PORZĄDKOWANIE DOŚWIADCZEŃ

ROK MINIONY NIE STANOWI W POEZJI POLSKIEJ JAKIEJŚ UCHWYTNEJ CEZURY: NIE PRZYNIOSŁ NOWYCH JAKOŚCIOWO ZJAWISK ANI TEŻ, CO JESZCZE BARDZIEJ NIEPOKOI, NIE ROZSŁAWIŁ NAZWISK KRYTYCE I CZYTELNIKOM DOTYCHCZAS NIEZNANYCH. DOWIODŁ ON RACZEJ PEWNEJ STABILIZACJI I PORZĄDKOWANIA POSZUKIWAŃ, BO W ZAKRESIE POETYK DEKORACJE POZOSTAŁY W ZASADZIE TE SAME. WIDAĆ TO NAWET NA PRZYKŁADZIE KSIĄŻEK TAK WYBITNYCH JAK NOWE TOMY GROCHOWIAKA I HERBERTA.

Znamienne sumowanie doświadczeń nie oznacza jednak skostnienia poezji ani wyczerpania możliwości gatunkowych. Nie wydaje się również uzasadnione pobrzękiwanie o permanentnym kryzysie poezji, jak to robią krytycy o fatalistycznym nastawieniu, myląc najczęściej wewnętrzny rozwój poezji z jej statusem społecznym, ściślej zaś z jej sytuacją rynkową. Na tym ostatnim odcinku rzeczywiście można mówić o zagrożeniu: nakłady tomików są tak nikłe, że poezja, książka poetycka niemal nie funkcjonuje w świadomości czytelniczej. Są to widocznie nakłady ustalane głównie z myślą o bibliofilach i najbliższych przyjaciołach poety.

Obraz poezji łódzkiej nie odbiega od nakreślonej przeze mnie we wstępie ogólnopolskiej panoramy. Może nawet jeszcze silniej zaznacza się w nim tendencja porządkowania doświadczeń, gdyż na osiem pozycji poetyckich aż trzy z nich stanowią obszerne, retrospektywne tomy. Niektóre z tych pozycji noszą w metryczce datę 1969, omawiam je jednak, gdyż na półkach księgarskich ukazały się dopiero w roku ubiegłym. Dodajmy, że niemal wszystkie opublikowało Wydawnictwo Łódzkie, bo tylko dwa tomiki ogłoszono w innych oficynach wydawniczych.

Na czoło wszystkich publikacji roku wysuwa się książka zmarłego w grudniu 1969 r. wybitnego teoretyka poezji i poety Stanisława Czernika zatytułowana „WIATR OD ZIEMI". Wyboru wierszy z lat 1921—1967 dokonał sam autor, zamykając na zawsze i scalając swoje poetyckie dzieło. Znalazły się w tym tomie, drukowanym już w okresie ciężkiej, nieuleczalnej choroby Czernika utwory, które autor sam pragnie ocalić w pojedynku z czasem i zapomnieniem. Zarówno dobór tekstów jak i przyłożone do nich motto ze Słowackiego („ucho moje, na wiatr od ludu idący zawsze zwrócone.") akcentują te obsesyjne, mitotwórcze i całkowicie Czernikowskie zabiegi wokół skonstruowania ludowej podświadomości grupowej. Jest to właśnie owo Czernikowskie „podglebie", na którego temat następująco wypowiada się we wstępie do książki: *„Z tego podglebia wyniosłem ludzki kult słowa i, obciążony takim dziedzictwem, próbowałem — w zastępstwie, ciągle w zastępstwie — mówić w imieniu tych, którzy nie mogli lub nie umieli się wypowiadać. Z wiarą, że wyrażam prawdę w ostateczne zwycięstwo Człowieka nad człowiekiem."*

Przy bliższej analizie zawartości tomu okaże się, że nie zawsze udaje się zachować Czernikowi oba człony tego programu równocześnie, niektóre utwory spójne są raczej z drugim tylko zacytowanym wyżej zdaniem. Grupowa podświadomość nie jest bowiem czymś danym raz na zawsze, niezależnie od czasu. Niekiedy poeta nie może i nie ma prawa uchylać się przed zauważeniem tego co jest tylko jednostkowe, zawężone do doświadczenia jednego pokolenia. Tym szczegółem jest widzenie wojny, która zaciążyła tak wyraźnie nad losem pokolenia poetyckiego, do którego zalicza się również Czernik. Refleksję uogólniającą na ten temat przynosi zwłaszcza doskonały, przejmujący wiersz „Niehistoryczność" ale znajdziemy jej odbicie także w innych utworach (np. „Odnowicielstwo"). Nawet jednak to okrutne doświadczenie służy poecie do głoszenia optymistycznej wiary w dobroć człowieka, której potwierdzeniem jest przeszłość całego rodzaju ludzkiego.

Inny typ wyobraźni reprezentuje zmarły przed kilku laty Wacław Mrozowski, którego wiersze kształtowały się pod wpływem katastrofizmu Czechowiczowskiego. Tom „SPOJRZENIE WSTECZ" stanowi wybór wierszy z trzydziestu lat (1936—1966) dając reprezentatywny przegląd dorobku poetyckiego Mrozowskiego. Dadzą się w tym dorobku wyodrębnić dwa zasadnicze nurty. Jeden, najbliższy tradycji Czechowiczowskiej, sławi uroki prowincji wierszem melodyjnym, niemal sentymentalnym, aby następnie nasycić się groźnymi wizjami nadchodzących czasów pogardy (cykl „Obok śmierci). Drugi nurt określiłbym jako mistyfikatorsko-katastroficzny. Dotyczy to zwłaszcza utworów noszących wspólny tytuł „Z Johnem Barleycornem". Formułuje w nich Mrozowski kodeks mitów bohemy w wypowiedzi na tyle jednak osobistej, że w pełni potwierdziły się później katastroficzne przeczucia poety. Jest to rzadki raczej przykład wpisania się życia artysty w formułę własnej poezji podniesionej do rangi jasnowidzenia.

Zupełnie odmienny charakter mają wiersze Antoniego Kasprowicza zebrane w retrospektywnym tomie pt. „Z CZTERDZIESTU LAT". Kasprowicz (urodzony w Łodzi w r. 1908) zadebiutował w r. 1935 jako autentyczny poeta proletariacki i słusznie zauważył kiedyś Broniewski, że walkę proletariatu, którą tyle razy sławi w swoich wierszach „przyjmuje on niejako oddolnie, z własnych doświadczeń i świadomości, kształtowanej przede wszystkim przez życie, a dopiero później przez lekturę".

W dwudziestoleciu międzywojennym w Polsce wiersz rewolucyjny stanowi narzędzie walki. Takie utwory pisywali rewolucjoniści z wyboru, inteligenckiego pochodzenia (Broniewski, Wandurski, Stande), takie utwory stworzył też Antoni Kasprowicz. Ale jego poezja wynikała z najgłębiej przeżywanych odczuć robotnika i stanowi swoisty dokument budzenia się świadomości klasowej. Najbardziej charakterystyczne utwory powstałe w tym okresie to wiersze — plakaty i wiersze — reportaże ukazujące położenie proletariatu i jego aspiracje. Są one w równym stopniu zjawiskiem artystycznym, co i socjologicznym. Stopniowo ciężar zainteresowań poety przenosi się na problematykę ogólniejszą, wiersze wzbogacone zostają o walory refleksyjne i mają coraz wyraźniej cel estetyczny. Na przestrzeni czterdziestu lat wierszowania Kasprowicza prześledzić można wyraźnie jak poszerzała się wrażliwość artystyczna poety- robotnika, jak pogłębiało się uzawodowienie tej poezji. Twórczość wyrosła w okresie wielkich konfliktów społecznych, produkt epoki industrializacji i walki klasowej jest dziś świadectwem nobilitacji proletariatu i wielkich możliwości, jakie kryje w sobie nowa kultura. Sprawdziło się więc proroctwo profesora Czarnowskiego, który pisał przed wojną na temat kultury proletariackiej charakteryzując w następujący sposób jej twórców: „Jest innym człowiekiem, człowiekiem dążącym, walczącym, twarzą zwróconym ku przyszłości, która nie przedstawia się jako raj odpoczynku, ucieczki od świata, ale jako świat wytężonego, nigdy nie przerywającego się twórczego wysiłku".

Jeszcze inny typ wrażliwości reprezentuje poezja Tadeusza Chróścielewskiego, twórcy zwróconego ku przeszłości i uprawiającego coś, co można by lapidarnie określić jako poetycką historiozofię. Widoczne to było już w jego debiutanckim tomiku „Najmilsze strony", gdzie obok wierszy deklaratywnych (powstałych w latach pięćdziesiątych) znalazły się utwory zamyślone, refleksyjne, wytyczające drogę autentycznych zainteresowań poety. Charakterystyczny pod tym względem był zwłaszcza cykl warmińsko-mazurki, poetycka rekonstrukcja świadectw polskości tych ziem. Ta tradycja historyczna znalazła kontynuację w nowym tomiku Chróścielewskiego „HIPOKRENE WARMIŃSKA" wydanym przez „Pojezierze". Wiersze Chróścielewskiego wzbogacone zostały o nowe, pogłębione umiejętności warsztatowe. Jego archaizacje są najwyższej próby, są bardzo nowoczesne i o wiele nośniejsze poetycko niż próby podejmowane przez tzw. neoklasyków, uprawiających najczęściej jałowe stylizacje i pastisze.

A niestety przykładów stylizacji poetyckich nie brak nam ostatnio. Bardzo charakterystyczne są choćby wydane niemal w tym samym czasie w Łodzi i Krakowie dwa tomy wierszy Jerzego Jarmołowskiego, tak różniące się od siebie, że można by sądzić, iż wyszły spod pióra dwóch różnych autorów. Tomik „W KTÓRĄ TOBIE STRONĘ" złożony głównie z cyklu zapisów (Czyżby aluzja do ecrive automatique?) jest jakby próbą odpowiedzi na pytanie: jak i czy naturalizm jest jeszcze możliwy w poezji? Wiersze te wyrosły z nurtu poetyki uprawianej głównie przez Andrzeja Burse, a kolejnym stadium tych naturalizacji były poetyckie próby Brychta. Na szczęście Jarmołowski posiada własną wrażliwość, choć z trudem przedziera się ona przez skonwencjonalizowany brutalizm. Ten kostium czy raczej mówiąc naturalistycznie: łachman, jakby ogranicza niewątpliwie interesującą wyobraźnię poety, która doszła do głosu w tomiku „Zielnie i weselnie", dość niejednorodnym stylistycznie i także nie wolnym w całej pełni od skonwencjonalizowania. Jarmołowski, poeta, którego stać na poetycką szczerość nie znalazł chyba jeszcze samodzielnej formy wypowiedzi dla swojej wrażliwości i najbardziej wartościową próbą poszukiwania środków wyrazowych są dla mnie jego sonety zebrane w cyklu „Z mrozu strugane". Intensywność tych prób dowodzi wszakże, że Jarmołowski jest poetą dużych możliwości i już najbliższa książka może w pełnym blasku ukazać nam wszystkie jego dokonania poetyckie zamaskowane teraz nadużyciami stylizacji.

Bernard Sztajnert tomikiem „OBECNOŚĆ" nawiązuje do tych obszarów przeżyć, z których utkany był jego zbiór opowiadań „Tajemnica Maxa Hellera", spotkamy tam nawet motyw Klaudiusza i zafascynuje osobowością Kafki. Ale to jedna warstwa tomu. Konsekwencją obłakania świata jest wojna, której Sztajnert poświęcił wiele utworów swego najnowszego tomu. Nie brak w nim także drobnych obserwacji natury obyczajowej, ani też, jakby dla kontrastu, zamyślenia filozoficznego. Zresztą refleksyjność jest jednym z walorów poezji Sztajnerta. Umiejętnie przetwarzając najwartościowsze osiągnięcia poetyki skamandryckiej Sztajnert udowadnia, że nie ma poetyk raz na zawsze wyeksploatowanych, że w każdej kryją się nieoczekiwane możliwości, jeśli tylko przyłożymy do nich nową wrażliwość. Gdyż, jak sam powiada w „Modlitwie": *Zginą słowa ogromne, pozostaną wiersze."*

Jerzy Wilmański dał się już wcześniej poznać jako poeta nastroju, cieniowanego frazą melodyjną, o zmiennym, nerwowym rytmie. Jego wiersze wyrosły także z doświadczeń Skamandra poszerzonych o próby neoklasyków przeszczepiających na grunt polski osiągnięcia formalne anglosasów. Ale Wilmański jest rozpoznawalny w swoich wierszach i nawet wówczas, gdy stwierdza, że „konwencje są z góry ustalone" dochodzi do głosu jego własna osobowość i wrażliwość. Te rysy indywidualne posiada również tomik „ODLOT" stanowiący dalszy krok w rozwoju poety, choć bliski próbom podejmowanym w poprzednich jego książkach. W „Odlocie" Wilmański porządkuje swoje doświadczenia poetyckie a sam tytuł może sugerować, że uważa je za etap zamknięty.

Kończąc te rozważania odwołam się znowu do statystyki. Łódź uchodziła tradycyjnie za miasto poezji i poetów. Panorama książek, jakie przedstawiłem w dwu moich artykułach sumujących rok ubiegły, sugeruje jednak, że niepostrzeżenie główny ciężar zainteresowań pisarzy łódzkich przesunął się na prozę. Mimo to poezja zachowała swoją wysoką pozycję i nie przypadkiem w Łodzi organizuje się coroczne Ogólnopolskie Festiwale Poezji. Szkoda tylko, że nakłady książek poetyckich eliminują właściwie wpływ poezji na kształtowanie nowej wrażliwości społecznej. Nie do mnie już jednak należy wskazywanie rozwiązań, jakie mogłyby ten stan rzeczy zmienić.

Z woleja

DOPING

Przyjeżdżają zawsze dużymi grupami w specjalnych samolotach, a pobyt ich np. w Polsce trwa z reguły nie dłużej niż jeden dzień. Ubrani są bardzo kolorowo, czasami nawet pstrokato, ale barwy we wszystkich elementach stroju, na czapeczkach czy chorągiewkach są takie same, jaskrawe, kłujące w oczy i co najważniejsze — jednakowe. Mimo różnicy zawodów, wyznań, ba, nawet koloru skóry, łączy ich jedno — miłość do drużyny piłkarskiej.

Każda z bardziej znanych drużyn piłkarskich na Zachodzie posiada własny, fanatyczny klub kibiców. Z okazji ważnych spotkań ligowych czy międzynarodowych urządzają oni swoiste „pielgrzymki" do miejsc gry ich piłkarzy, a na stadionach, gdzie owe spotkania się odbywają, odprawiają swojego rodzaju „nabożeństwa". Doping ten właściwy jest nie tylko drużynom zawodowców na Zachodzie. Bawiłem kiedyś w NRD, gdzie na ogromnym lipskim stadionie miałem okazję obejrzeć zmagania miejscowego Dynamo z berlińskim Voerwaertsem. Był to, oczywiście, mecz o mistrzostwo ekstraklasy piłkarskiej. Na stadion ciągnęły rzesze mężczyzn o ogromnej rozpiętości wieku, począwszy od przedszkolaków, a skończywszy na ludziach posuniętych w latach. Każdy bez różnicy dzierżył pod pachą trąbkę bądź chorągiewki o barwach klubowych. Kiedy rozpoczął się mecz wraz z nim zaczęła „koncert" 80-tysięczna orkiestra kibiców. Koncert ten trwał przez okrągłe dziewięćdziesiąt minut. Nietrudno się więc dziwić, że gorsi technicznie od berlińczyków gospodarze przy takim dopingu spotkanie wygrali.

Rzecz jasna, nie należy tolerować rozhisteryzowania kibiców w czasie spotkań piłkarskich, jako że każda przesada jest niezdrowa. Kiedy jednak ogląda się spotkania w różnych dyscyplinach sportu na terenie Łodzi czy innych miast naszego kraju, czasami aż żal jest zawodników, którzy przy kompletnym milczeniu stadionu czy widowni hali sportowej męczą się i z piłką i z przeciwnikiem. Zazdrości się wtedy sportowcom innych państw ich publiczności. A przecież śmiem stwierdzić, że tego rodzaju skutki są przyczyną niczego innego, jak tylko polityki poszczególnych klubów. Nie ma bowiem u nas tego, co można nazwać organizacją kibiców. Nie chodzi tutaj o tworzenie klubów kibiców, ale po prostu o odpowiednie zatroszczenie się danego klubu sportowego o swoich sympatyków. Spróbujmy np. teraz chociażby w Łodzi kupić gdziekolwiek znaczek ŁKS czy chorągiewkę tego klubu. „Senne marzenie" — jak powiedziałby Wiechowski Walery Wątróbka. Kibice nie mają nawet możliwości spotkać się chociażby raz na pół roku ze swoimi pupilami w lokalu klubowym i w sposób oczywiście zorganizowany podyskutować o problemach ich nurtujących. Uciekają się więc biedni miłośnicy sportu i sportowców do — jakbym nazwał — niezorganizowanych kontaktów ze swoimi ulubieńcami. Do czego to prowadzi nie muszę chyba tłumaczyć. Kluby po prostu nie dbają o swoich kibiców. Na tym polu jest więc jeszcze wiele do zrobienia, wszystko zależeć będzie od tego, jak szybko kluby sportowe nawiążą przez bezpośrednie spotkania kibiców z władzami klubu czy z jego zawodnikami bezpośrednią rozmowę na miesięcznych czy kwartalnych spotkaniach.

Korzystając z wieloznaczności słowa „doping" zawartego w tytule, chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na drugie jego znaczenie.

Skłoniły mnie do tego wnioski, wyciągnięte na XVIII Światowym Kongresie Medycyny Sportowej, który dwa miesiące temu obradował w Oxfordzie. Otóż okazuje się, że używanie środków pobudzających przez sportowców jest coraz powszechniejsze. Nagminnie stosują je kolarze, coraz więcej jednak jest wypadków używania środków dopingujących przez przedstawicieli innych dyscyplin. Inna sprawa, że często wykorzystywane jest to do fałszywych oskarżeń, jak np. działo się na ubiegłorocznych mistrzostwach świata w podnoszeniu ciężarów, które odbyły się w amerykańskiej miejscowości Columbus. Fakt jednak jest faktem, że dopingu używa się coraz częściej. Zawodnicy znają już wiele metod, którymi posługując się, można uniknąć odpowiedzialności za używanie środków pobudzających. Co gorsza pomagają im w tym niektórzy lekarze i to specjaliści. Przecież ktoś musi taką np. amphetaninę przepisać, musi powiedzieć jak się ją zażywa, obliczyć czas działania, pokazać sposób uniknięcia odpowiedzialności itp. Nie może tego zrobić nie fachowiec. Na szczęście w Polsce problem ten prawie nie istnieje, ale na świecie przybiera na sile. Im więcej się z tym walczy, tym lepsze są metody ukrywania różnego rodzaju środków pobudzających przed kontrolującym lekarzem. Spacza się szlachetną ideę sportu. Jak do tej pory problem ten istniał przeważnie w sporcie zawodowym, ale niestety zaczyna, i to zdecydowanie, przedzierać się i do sportu amatorskiego. Smutne to, ale prawdziwe.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

P. S. Dla piszącego, każdy list od Czytelnika jest cenny, chociażby nie było w nim racji. Dlatego też dziękuję Stefanowi Walczakowi z Łodzi ul. Józefa 6 m. 9 za kilka uwag na temat felietonu z dn. 29. 11. 1970 r. pt. „Porywacze i ofiary". Nasz Czytelnik ma rację pisząc, że również działacze łódzkich klubów jeżdżą po Polsce i szukają posiłków do swoich drużyn. Inna sprawa, że w rezultacie tego napływają do Łodzi piłkarze nie tylko dojrzali, ale w większości przejrzali. Tymczasem ideą tego felietonu było potępienie działaczy, sięgających do szkół i demoralizujących młodzież. Kaperownictwo zawodników starszych — co zresztą wyraźnie w tym felietonie stwierdziłem — jak na razie jest nie do wyplenienia, niestety! Jeżeli więc nasz Czytelnik jeszcze raz zechce sięgnąć do felietonu „Porywacze i ofiary", z pewnością racje te potwierdzi.

M. S.

ALEKSANDRA OCHALSKA

W DRUGIM WYMIARZE

Weszła pełna niepokoju i lęku. Wybrała narożny stolik przy oknie. Zamówiła filiżankę kawy. Z góry uregulowała należność, jakby się śpieszyła. A przecież do momentu, w którym miała go ujrzeć, brakowało trzydzieści minut. Jeśli nie przyjdzie? Otworzyła torebkę i wyszperała list; czytała raz jeszcze:

„Szanowna Pani — pisał — z prawdziwą radością przyjmuję Pani propozycję. Zgodnie z życzeniem, będę Panią oczekiwał w kawiarni „Colorado" o godzinie piętnastej". — Uspokoiła się, choć drżenie rąk zdradzało zdenerwowanie. Zajęta własnymi myślami nie dostrzegała ludzi. A więc za chwilę ujrzy człowieka, któremu podarowała serce syna. Jakie będzie pierwsze wrażenie? O czym będą rozmawiali? Czy zdoła się opanować? Dwa lata. Dwadzieścia cztery miesiące, których rozpacz i gorycz po stracie jedynaka starała się utopić w pracy. W nawale zajęć przy wychowywaniu cudzych dzieci. Kto zrozumie wypełnione szarzyzną dni, w których dzieje się tak dużo i nie dzieje się nic. Godziny bezsenności. Oczy pełne piasku. Natłok myśli. Ranek z pełną świadomością faktów. Jaka siła — mimo pozorów słabości — wprzęga człowieka w ten zmechanizowany porządek rzeczy? W kierat, z którego nie można się wyrwać? Zamknięte koło. Nie ma początku i nie ma końca. „Śmierć jest koniecznością, gdyż równoważy dynamikę życia"... A więc jest jednak koniec? Kto to powiedział i kiedy? Lekarz w szpitalu mówił wręcz coś przeciwnego: „Śmierć nie jest koniecznością biologiczną, a tylko ewolucyjną. Pani syn nie umrze całkowicie. Jego serce będzie biło nadal. Ale na to potrzebna jest pani zgoda". Zgoda matki na oddanie synowskiego serca drugiemu, obcemu człowiekowi. Gest godny Samarytanki. Mimo całej beznadziejności sytuacji dla jednego i perspektywy przedłużenia życia drugiemu, jest jeszcze luka. Nie do pokonania. Nie do zapomnienia. Nie do wydrapania. Drzazga, której nie potrafi usunąć żaden skalpel najznakomitszego chirurga. Tak, zgadzam się — powiedziała wówczas. I zaraz potem niemy krzyk: Nie! Ale oni tego nie słyszeli. Biegali po korytarzu w długich, białych kitlach. Wirowali w skąpym świetle lampy. Manekiny. Cóż oni mogli wiedzieć. Czerwone światełko przed salą operacyjną dogasało... To nagle żarzyło się niebezpiecznie i drażniło wyobraźnię. „Proszę pani, to nie ma sensu, trzeba wracać do domu"... Czyjeś słowa dobiegają z bardzo daleka i przywołują do umownego porządku rzeczy. A co ma sens? Wraca świadomość. Jeszcze nie teraz! Jeszcze nie nadszedł czas — broni się. Palce rąk splątają się mocniej, zaciskają szczelniej. Czarna, wielka wskazówka ściennego zegara drga. Czerwona żarówka gaśnie... Może się wypaliła? Stało się. Dokonało się. Bądź wola twoja, Panie. Właściwie nic nowego, nic nieoczekiwanego, wiedziała o tym od dawna, zanim w ogrodzie szpitalnym zamilkły ptaki. A jednak? „Cisza leczy... Cisza leczy... Cisza leczy..." Sloganowe hasło wdziera się raz po raz, do skołatanej, obolałej, stukilowej głowy.

Czy źle się pani poczuła? W czym mogę pomóc? Kobieta podnosi schyloną do niedawna w pokorze głowę. Ciemna czupryna, szare oczy, lśniące zęby nie znikają. Przepraszam za małe spóźnienie, to wina pociągu — tłumaczy się przybysz. Matowe źrenice nabierają barw. Ożywiaja się, przytomnieją. Wreszcie padają pierwsze słowa powitania: Przyszedł pan w samą porę. To mnie tu przed chwilą nie było. Uśmiecha się i wskazuje miejsce obok siebie. Zupełnie pana sobie inaczej wyobrażałam — mówi wzruszona. Muszę się przyznać, że bardzo się bałam tego spotkania. Bardzo... Wreszcie postanowiłam. Po prostu jakiś nakaz wewnętrzny. Jakby mój i nie mój głos domagał się aktualnego adresu pana. Najgorzej było z listem. Kilkakrotnie kreśliłam te parę zdań i nie mogłam skleić całości. Wysłać, czy nie? Jak będzie lepiej? Co to przyniesie w konsekwencji? Zapomnieć całkowicie, godząc się z faktem, którego i tak nie można odwołać. Wszystko przecież zostało zamknięte w jedną, wyznaczoną całość. A może odmienić, w małej, dostępnej części, bieg dalszego życia? Uchwycić wątłą nić, powiązać pozrywane kawałeczki. Sformować na nowo okrągły kłębek i wyrzucić go na zewnątrz. Z całej siły! Daleko... Niech się toczy... Dokąd zaprowadzi? Czy da pożądane ukojenie, czy jeszcze bardziej rozjątrzy niegojącą się ranę? Już sam zamiar wsączył w duszę małą nadzieję. A to wydało mi się ważne. Czy pan jest w stanie zrozumieć, jakie to wszystko było trudne?

Przerwała, jakby jej zabrakło tchu. Zrezygnowana, wzruszywszy bezradnie ramionami, skierowała rozmowę na inny temat.

— Właściwie to ja tu nie po to przyjechałam, żeby o sobie snuć opowieść. Tu przecież nie o mnie chodzi, a o pana. Tyle rzeczy mnie interesuje, tak dużo chcę wiedzieć. Proszę opowiadać o wszystkim. Od momentu wyjścia ze szpitala, do chwili obecnej. Jak się pan czuje, co robi, gdzie pracuje? Czy ma pan jakieś kontakty z lekarzem, dawnym opiekunem?

Zamówił drugą szklankę herbaty i popijając wrzątek zaczął, miesiąc po miesiącu, o sobie. Tak więc od pamiętnego dnia leżał jeszcze dwukrotnie w szpitalu. Rekonwalescencję odbył w sanatorium, w jednej z miejscowości kuracyjnych w kraju. Poznał tam uroczą dziewczynę, z którą się zaręczył, a która jest już jego żoną. Ukończył rozpoczęte przed chorobą studia. Zainteresował się nim sławny kardiolog z Wiednia.

Słuchała go w dużym skupieniu, bardzo uważnie, aby nie uronić żadnego słowa. Marszcząc niekiedy brwi, przeżywała wszystkie zdarzenia i fakty, z jego trudnego i bogatego życia. Nie mogła tego zrozumieć, czym ten człowiek ją tak oczarował. Tak zainteresował, prawie zafascynował całą swoją osobowością. Jego radości i troski stały się dla niej bliskie. Były częścią jej własnego życia. Mogła by przysiąc, że towarzyszyła mu od chwili wyjścia ze szpitala. Że zawsze była przy nim, w najtrudniejszych momentach jego życia. Ale wówczas tego nie odczuwała. To był jakiś inny czas. W jakim wymiarze? Śniła, czy była świadoma? Są chwile, w których człowiek przeżywa różne dziwne sytuacje, tylko jemu przeznaczone. Wysuwa ciekawe wnioski. Prowadzi nieme dyskusje, bo z nikim nie można się porozumieć. Poza pewnymi umownymi rzeczami, wyuczonymi terminami, nazwami, każdy żyje w swoim świecie. Inaczej odbiera, inaczej interpretuje. Nie dla wszystkich słońce zachodzi o jednakowej porze, w jednakowych barwach. Czerwień ma tyle tonacji, a błękit dla każdego malarza jest inny. Cierpienie zaostrza bystrość umysłu. Słuszne stwierdzenie, byle nie przebrać w nim miarki. Zachować równowagę. Sztuka to nie byle jaka. A może to wszystko dzieje się poza właściwym czasem? Może..

W krótkich przerwach, kiedy milkł jego głos, jej wyobraźnia pracowała szybko i sprawnie. A mimo to słyszała wyraźnie bicie jego serca. Chwilami rytm jednego serca dwóch synów łączył się w miarowy stukot z jej własnym. Sokrates mówił: „Człowiek jest istotą śmiertelną". I dotychczas nikt nie miał wątpliwości co do tej definicji. Miliard lat ewolucji życia nauczył nas, że śmierć jest nieuniknionym zakończeniem życia. Tymczasem tysiące biologów twierdzi: „Śmierć nie jest koniecznością". I dodaje: „Ale to wszystko wymaga swego czasu, poszukiwań, mozolnych penetracji, prób, poświęceń i odwagi". Trzeba by dorzucić do mądrości biologów nieco miłości bliźniego. Czy nadejdzie czas, w którym miłość zwycięży śmierć? A znieczulica?

— Żywym przykładem życzliwości, poświęcenia i miłości bliźniego jest właśnie pani — przerwał jej rozmyślania. — Ależ! — żachnęła się. — Naprawdę nie przesadzam! Dała pani dowód największego człowieczeństwa. Nie wiem, czy ja zdobyłbym się na podobną decyzję. Czy szukałbym kontaktu z człowiekiem, który żyje dzięki drugiemu, który był mi najbliższy. Czy nie czułbym urazy, chociażby zwykłej niechęci do żyjącego. Najczęściej w postępowaniu naszym występuje zwykły egoizm, który nie pozwala na podjęcie decyzji, wymagającej wielkiej odwagi i samozaparcia, prawości charakteru i oddania ludziom. Bo bądźmy szczerzy, nie zawsze kochamy naszych bliźnich. I nie zawsze oni na to zasługują. U pani jednak, w chwili tak ważnej, tak dramatycznej, zwyciężyło to wszystko. I dlatego dziś mogliśmy się spotkać. I dlatego serce moje bije również dla pani, drugiej mojej matki. Bo pierwszą straciłem podczas ostatniej zawieruchy wojennej. Rozgadałem się, a pani była tak miłą i cierpliwą słuchaczką, że nie przerywała mi. Ale dość tego! Proszę przyjąć nasze zaproszenie do rodzinnego domu i traktować go jak swój własny.

— Dziękuję. Ale jeszcze się porozumiemy listownie. Muszę ochłonąć z pierwszego wrażenia. Nie zasłużyłam na tyle ciepłych słów, którymi mnie pan obdarzył. Trudno dziś odtworzyć prawdę tamtych chwil. Nie wiem też, czy wówczas zwyciężył u mnie zdrowy rozsądek, serce, czy zgoła coś innego... Ważne, że jestem rada temu spotkaniu. Żałuję, że się tak późno na nie zdecydowałam. A może tak właśnie musiało być? Może musiałam tyle przecierpieć? Jestem w pełni usatysfakcjonowana widząc pana zdrowego, szczęśliwego, pełnego zapału do życia. I jestem z pana bardzo dumna.

Uśmiechnęła się. Pokój zajaśniał neonowym światłem. Ludzi do kawiarni przybywało. — Boże mój! — zatrwożyła się — to już tak późno?

Pochylili się nad rozkładem jazdy, wertując godziny rozchodzących się w różne strony pociągów.

Na dworcu zapragnęła przygarnąć go mocno do serca, ale dotknęła zaledwie jego męskiego ramienia. Stała pełna zadumy, aż potoczyły się po stalowych szynach pracowite koła. Jej syn długo wychylał się z otwartego okna, jak przy każdym rozstaniu.

Rys. E. Inglot

IRENA GALICKA

ZAKWITŁA JABŁOŃ

Nikt nie spodziewał się, że ta jabłoń zakwitnie, była spalona jak wszystkie drzewa w sadzie.

Ojciec i matka w milczeniu wygrzebywali z gruzów sczerniałe cegły i układali je w stos. Kiedy podnosili głowy, mieli przed oczami ten swój sadek, który nie tak dawno założyli — teraz były to rzędy wypalonych drzew o poskręcanych kikutach gałęzi.

W pewnej chwili ojciec cisnąwszy na ziemię kawałek wykruszonej cegły powiedział niespodziewanie rześko:

— No cóż, Maryś, odbudujemy dom...

Matka uśmiechnęła się sztywnym, gorzkim uśmiechem i mrużąc oczy rozejrzała się dokoła. To była jej odpowiedź.

Rozumieliśmy, że zbudować dom — to nie takie proste, trzeba przecież układać cegłę po cegle, trzeba związać strop, nakryć dachem, wstawić drzwi i okna. W domu muszą być podłogi, piece, muszą być sprzęty, a w koło nas nie było nic. Ale to nam, dzieciom, nie przeszkadzało bawić się koło gruzów, biegać koło spalonych drzew, krzyczeć i hałasować. My przecież prawie nie pamiętaliśmy naszego domu. Wiedzieliśmy, że stał tu kiedyś, bo wszyscy o tym mówili, ale jaki był, nie wiedzieliśmy. Czasem jak zły sen stawały nam w pamięci nie dość zrozumiałe wydarzenia — do wsi przychodzili Niemcy. Pamiętaliśmy ich sylwetki ciemne na tle ognia obejmującego błyskawicznie dom po domu, ich gardłowe krzyki, lufy wycelowane w ludzi. Pamiętaliśmy drogę, a raczej głębokie koleiny, o które potykaliśmy się uciekając dokądś — tak, to zapamiętaliśmy najlepiej: ucieczkę, to znaczy drogi, zastygłe, jakby zmrożone pola, skąpy blask ciemniejącego nieba i znów drogi, kałuże, ścieżki, wreszcie las. W lesie zatrzymywaliśmy się i słuchaliśmy z natężeniem odgłosów dolatujących od strony drogi. Twarze ludzi ciemniały i kurczyły się.

Ale nawet i te najsilniej utrwalone w pamięci obrazy nie tkwiły w nas głęboko, szybko bladły, coraz bardziej usuwały się w zapomnienie. Czasem wydawało się nam, że o tym wszystkim ktoś nam tylko opowiadał, że sami tego nie przeżywaliśmy. Dzień wstawał, była wiosna i nie wydawało nam się wcale straszne to, do czego wróciliśmy — gruzy, wypalone drzewa, pustka. Rodzice kłócili się czasem o coś zawzięcie i gniewnie, ale z tego wszystkiego jasne były dla nas tylko słowa ojca, którymi się zwykle te kłótnie kończyły: Zostaniemy, to odbudujemy dom! To było dla nas zrozumiałe i takie oczywiste, że mogliśmy już o tym więcej nie myśleć i z lekkim sercem biec w pole do swoich zabaw.

Nawet nocowanie razem z wieloma obcymi ludźmi w jedynej stodole, jaka ocalała w wiosce, było dla nas dalszym ciągiem zabawy. Leżąc pokotem na resztkach słomy, długo śmialiśmy się, poszturchiwali i popychali, zanim zmorzył nas sen.

Niespodziewanie na jednej jabłoni, przy której ojciec najczęściej się zatrzymywał i mówił z żalem — taka ładna antonówka — dojrzeliśmy jednego dnia małe pączki. A więc żyje — ucieszyliśmy się, chociaż pączki były tak małe i było ich tak niewiele, że właściwie nie było czego się cieszyć. Odtąd życie zaczęło pulsować w drzewku coraz silniej, ciepłe dnie, deszcze, słońce przynaglały je do zmartwychpowstawania. Pączki nabrzmiewały, ukazywały się nowe, gałęzie stawały się coraz bardziej brązowe, traciły trupi czarny kolor, aż wreszcie jednego ranka na kilku gałęziach zakwitły kwiaty. Chociaż były drobne i pokurczone oglądaliśmy je z zachwytem, wydzierając się w niebogłosy: Kwitnie! Kwitnie! Nasza jabłonka kwitnie!

Ojciec nadszedł pierwszy. Przystanął koło nas i z rozjaśnioną twarzą patrzył na skąpe kępki kwiatów. Nie przestawaliśmy wrzeszczeć, kiedy nadeszła matka. Szła, unosząc do góry wypełniony czymś fartuch, jak zwykle z gniewną troską wpatrzona w sczerniałą ziemię. Usłyszała nas i zatrzymała się. Potem wolno zaczęła kroczyć w naszą stronę wciąż trzymając przed sobą obciążony fartuch. Patrzyła wprost na nas.

— Patrz, mamo, jabłonka zakwitła!

Ojciec podniósł na nią oczy, kiedy się zbliżyła. Uśmiechnął się. Matka stanęła obok nas. Patrzyliśmy na nią chciwie, czekaliśmy, co na to powie. Nie powiedziała jednak nic, ale jej oczy rozjaśniły się tak, że stały się niebieskie jak niebo, a jej twarz stała się taka młoda, jakiej nigdy dotąd nie widzieliśmy.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

KONFRONTACJA POKOLENIOWYCH POSTAW

Trwa w naszym kraju dyskusja, usiłująca przedstawić i uogólnić te wszystkie niepokoje, które tkwią u podłoża sporu o przyszły kształt nowoczesnego narodu i państwa. Toczy się ona w różnych płaszczyznach, wśród których niebagatelną rolę odgrywa literatura piękna. Udziałem w owej dyskusji jest najnowsza powieść Romana Bratnego *), należącego do pokolenia, którego aktywność w historycznym i politycznym myśleniu o losach Polaków nie słabnie. Cała twórczość literacka Bratnego poświęcona jest współczesności, usiłuje określić nasze uczestnictwo w bieżącym polskim życiu. Głos tak wrażliwego na kontrowersje teraźniejszości pisarza jest tym bardziej interesujący, że pokolenie Bratnego reprezentuje w pokoleniowym łańcuchu ogniwo łączące tradycję z rewolucją i tworzące w ten sposób niejako pomost między dawnymi a nowymi laty.

Ciągłość troski pokoleń o przyszły kształt ojczyzny przerywają kontrowersje i nieporozumienia między nimi, stanowiące uogólnienia słusznych bądź niesłusznych mniemań (wynika to z różnic światopoglądowych i ideologicznych). Czasem jednak kolejne pokolenia mówią innym językiem o tych samych sprawach i wówczas konflikt sprowadza się do wieloznaczności pojęć i haseł.

Zauważalny dla każdego szereg przodków i następców stał się dogodną i niezwykle prostą miarą czasu historycznego. Rolę pokolenia jako pewnego ogniwa w tym szeregu aż do Oświecenia prawie określała ciągłość. Dopiero krótko przed Oświeceniem zauważono — jak pisze Kazimierz Wyka — że „między pokoleniami istnieją różnice, które wywołują bunt synów przeciwko ojcom". Różnice owe powodują, że elementem najistotniejszym w istnieniu pokoleń jest konfrontacja postaw i ona też staje się podstawą nowoczesnego ujęcia problemu. Oczywiście pokolenie jest tu rozumiane nie tyle jako miara czasu historycznego, co jako kategoria, w której „młodzi ujmują swą słuszność humanistyczną".

„Trzech w linii prostej" to obraz trzech pokoleń: najmłodszego, zaczynającego właśnie wieść samodzielne życie; średniego, do którego i Bratny należy, a które spędziło jakże często młodość w konspiracji i w lesie; wreszcie zaś pokolenia tych, którzy osiągnęli dojrzałość na długo przed wybuchem drugiej wojny światowej. Zasadniczą podstawą ich zróżnicowania jest pogląd na sprawę Polski, ściślej zaś mówiąc: różnorodność wizji Polski, prezentowaną przez poszczególne pokolenia. W dziejach naszych nie brakowało tych wizji w każdym chyba pokoleniu. Bratny odwołuje się do wizji „Przedwiośnia", oto bowiem najmłodszy Jerzman zasypia podczas jego lektury. Czytelnik zaś książki Bratnego musi zadać dwa pytania: czy scena ta świadczy o tym, że Żeromski zupełnie nie trafia do przekonań młodych ludzi, czy też sen ów jest kompromitacją najmłodszych, nie będących w stanie przebrnąć przez „Przedwiośnie"? Wiele zresztą wskazuje na to, że „Trzech w linii prostej" w zamierzeniu autora ma spełniać funkcję podobną do roli, jaką przed pół wiekiem odegrała znana powieść Żeromskiego.

Średni Jerzman powiada: „Nasi ojcowie chcieli ją mieć nawet byle jaką, nawet słomą krytą, my — praworządną, a dla nich jest już dach szklany i żelbeton, i prawo, a oni chcą ją mieć światu równą". Oto najprostsza formuła konfrontacji postaw pokoleniowych.

Pokolenie Bratnego od dłuższego już czasu współdecyduje o losach Polaków. Przeciwko temu właśnie pokoleniu następuje szarża najmłodszych, wygarniających, co myślą „o nich wszystkich, rozdętych wspomnieniami jakiejś walki, która w końcu wolności nie dała, bo «was musieli wyswobodzić, a nie wyście się wyswobodzili», zarozumiałych z powodu pseudosukcesów, które robią z nas «zadupie prawdziwego świata»". Prócz elementów zaczepki opinia ta zawiera również reakcję na niekomunikatywność starych, jakby skrępowanych emocją dla własnych dokonań.

Słusznie zauważył jeden z krytyków, że ta pokoleniowa polemika została przez Bratnego przeprowadzona trochę jednostronnie i nierównomiernie. W znakomitej bowiem większości dotyczy starzenia się generacji dobijającej pięćdziesiątki, zaś sprawy generacji pozostałych stanowią raczej tło niż równorzędny materiał do dyskusji. Uwagi tej nie należy traktować jako zarzut. Bratny bowiem jest przede wszystkim pisarzem pokolenia „Kolumbów", przez pryzmat dziejów którego ogląda świat. I nawet wtedy, gdy broni tej wartości, jaką jest złożona ciągłość historyczna wspólnego niepokoju przy różnych postawach pokoleniowych wyraża przekonanie, że w określonej przez społeczność kulturze narodowej wartości są równie ważne jak i działania.

Wiadomo nam jednak, że jako problem liczy się nie tylko ten model Polski, który jest wypracowywany przez najmłodsze pokolenie. W dotychczasowych recenzjach książki Bratnego najmniej miejsca poświęcono właśnie dwudziestolatkom. Jak widzi ich pisarz jako współtwórców przyszłości? Czterech młodych bohaterów to jakby cztery typy „idealne", w których zamyka się struktura młodego pokolenia. Andrzej reprezentuje dzieci tych, którzy przegrali, a posiadali tradycję. Felek jest reprezentantem dzieci tych, którzy wygrali rewolucję, a nie byli w sposób istotny związani z kulturą narodową. Postać Tomka symbolizuje dzieci tych, co dokonali syntezy tradycji i rewolucji. Maciek wreszcie korzysta z awansu społecznego, różniącego się jednak jakościowo od form awansu powojennego. Tak wygląda genetyczna struktura młodego pokolenia w powieści. A jak interpretacja? Oto Andrzej potrafi tylko zidentyfikować się z legendą, jego samobójcza śmierć w szerszym kontekście okazuje się niczym więcej, jak tylko szczeniacką próbą bezsensownej zemsty. Główną cechą Felka (noszącego imię dla uczczenia Dzierżyńskiego) jest umiejętność czerpania korzyści, by nie powiedzieć — postawa absolutnie konsumpcyjna wobec zastanego porządku, ale także egoistyczna, niemal irracjonalna mania bronienia swego prawa do wyjątkowości i manipulowania innymi. Tomek wydaje się być krytycznym kontynuatorem linii ideowej swego ojca ale jego autentyczny wybór jeszcze nie nastąpił. Jedynie Maciek wyraża postawę w pełni optymistyczną wobec zdarzeń i tendencji swojego czasu. Ten ochrzczony w wyniku zbiegu sytuacji i zdobywający swój awans w przyciasnych butach, chłopski syn, wśród niechętnych mu kolegów (jest dla nich „Kurwamaciusiem"), ma nade wszystko świadomość swego gorszego startu życiowego, swej inności, którą pragnie za wszelką cenę zniwelować i stąd jego identyfikacja z istniejącym stanem rzeczy. Ten stan rzeczy musi jednak rodzić pytanie: Czy ta racjonalizująca awans życiowy identyfikacja z rzeczywistością nie będzie z czasem świadomym wyborem?

Bratny nie może wszystkich problemów rozwiązać ani odpowiedzieć na wszystkie pytania, pozostawmy i my bez odpowiedzi pytanie: czy struktura młodego pokolenia w powieści jest adekwatna, czy powyższa reprezentacja wyczerpuje wszystkie główne niepokoje młodego pokolenia? Dopowiedzmy zresztą: czy wyczerpują się one w formule awansu cywilizacyjnego „światu równa"?

Linią prostą, może lepiej powiedzieć kierunkiem działania, nie zawsze przecież w prostą się układającym, jest troska o losy Polski, nie stanowiącej wszak dziedzictwa Sandomierskich, ludzi, którym łatwiej było załatwić przy pomocy jednej rozmowy telefonicznej zwolnienie z opłat celnych niż połączyć się naprawdę z narodem, wśród którego przyszło im żyć (vide: rozmowa o scenie Wielkiej Śmierci).

Miejmy nadzieję, że książka Bratnego nie będzie ostatnim głosem w dyskusji, idzie bowiem o to — jak pisał Stanisław Brzozowski — „aby literatura stała się istotnie świadomością stwarzającego siłę swą i utrzymującego się w świecie polskiego życia".

*) Roman Bratny, Trzech w linii prostej, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970. Wydanie I, nakład 30.000, cena zł 12.

LAUREACI NAGRÓD M. ŁODZI

PŁK PROF. DR JÓZEF BORSUK

Płk. prof. dr Józef Borsuk otrzymał nagrodę za osiągnięcia w dziedzinie medycyny społecznej. W swojej pracy naukowej zajmował się m. in. analizą przyczyn występowania chorób górnych dróg oddechowych u robotników w przędzalniach bawełny i fabryce tytoniu; badał też schorzenia górnych dróg oddechowych u młodzieży szkolnej. Odkrył objaw tzw. języka pobrużdżonego towarzyszący niedorozwojowi i upośledzeniom umysłowym dzieci. Było to pierwsze w świecie doniesienie naukowe na ten temat.

Prof. dr J. Borsuk jest szefem Katedry i Kliniki Laryngologicznej WAM w Łodzi od 1959 roku, a z uczelniami łódzkimi związany jest od 25 lat. Jest znanym działaczem społecznym, od 6 lat prezesem Zarządu Miejskiego PCK, założycielem pierwszej w Łodzi przychodni PCK (1948 r.). W dorobku naukowym ma 56 prac.

PROF. MARIAN CHWALIBÓG

Prof. Marian Chwalibóg jest wicedyrektorem Instytutu Maszyn i Urządzeń Włókienniczych na Wydziale Włókienniczym PŁ, znanym specjalistą pracującym w tej dziedzinie od 25 lat. Powołał do życia Katedrę Części Maszyn na Wydziale Włókienniczym PŁ. Stworzył naukowe podstawy gospodarki elementami zamiennymi maszyn włókienniczych, napisał unikalne w skali światowej dwutomowe dzieło „Kinematyka mechanizmów włókienniczych". Z jego inicjatywy i pod jego redakcją ukazuje się wielotomowe dzieło pt. „Elementy maszyn włókienniczych". Swoją pracą naukową i dydaktyczną oraz organizacyjną przyczynił się do rozwoju przemysłu włókienniczego w naszym kraju.

PROF. DR WACŁAW SZUBERT

Prof. dr Wacław Szubert jest wybitnym znawcą zagadnień prawa pracy, znanym na niwie międzynarodowej uczonym, członkiem licznych towarzystw naukowych w kraju i za granicą. Od 25 lat pracuje na Uniwersytecie Łódzkim. Obecnie jest dyrektorem Instytutu Administracji i kierownikiem Zakładu Prawa Pracy na Wydziale Prawa i Administracji UŁ. Pracę naukową rozpoczął w 1936 r. w Instytucie Spraw Społecznych w Warszawie, zajmując się badaniami w dziedzinie polityki społecznej. Po wojnie skupia się na ogólnych zagadnieniach polityki społecznej, teorii i polityki zatrudnienia oraz ubezpieczeń społecznych. Prowadzi także badania w dziedzinie historii myśli społeczno-ekonomicznej, a od 1956 roku zajął się zagadnieniami prawa pracy.

Wydał monografię pt. „Ochrona pracy. Studium społeczno-prawne" i „Układy zbiorowe pracy". W przygotowaniu podręcznik uniwersytecki — „Zarys prawa pracy".

DR JÓZEF MARCZAK

Dr Józef Marczak prowadzi szeroką działalność społeczną i oświatową, a także naukowo-badawczą i publicystyczną. Zorganizował Ośrodek Badawczy Zarządu Głównego Zw. Zaw. Prac. Przem. Włók. Odzież. i Skórz. Ośrodek przez niego kierowany był pierwszą tego typu placówką w polskim ruchu zawodowym, a przeprowadzane tam badania nad problematyką pracy i życia włókniarzy, sytuacją socjalno-bytową rodzin robotniczych, funkcjami wychowawczymi środowiska pracy miały poważny wpływ na działalność związku zawodowego. Opracowania dotyczące budżetu czasu włókniarek łódzkich i sytuacji kobiet w okresie macierzyńskim wpłynęły na wprowadzenie zmian w tygodniowym czasie pracy w przemyśle włókienniczym oraz na wprowadzenie możliwości korzystania z dodatkowego bezpłatnego urlopu macierzyńskiego w całym kraju.

Dr J. Marczak napisał książkę „Młodzież robotnicza w łódzkim przemyśle włókienniczym", przyczynił się do wydania takich dzieł jak „Włókniarze łódzcy", czy „Aktywność kulturalna włókniarzy".

BENON LIBERSKI

Artysta malarz i grafik — Benon Liberski jest łodzianinem, członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków od 1954 roku i prezesem Łódzkiego Okręgu ZPAP od 6 lat. Artysta należy do tzw. grupy realistów, bierze udział w wystawach tej grupy w Warszawie, zdobywa tam wiele nagród i wyróżnień. Ma w swoim dorobku udział w wystawach okręgowych, ogólnopolskich i zagranicznych. Wystawiał obrazy m. in. w Berlinie, Pradze, Budapeszcie, Sofii, Rostocku. Jest laureatem wszystkich konkursów malarskich Okręgu Łódzkiego ZPAP, ostatnio I Ogólnopolskiego Konkursu na Obraz Sztalugowy. Prace graficzne i malarskie Liberskiego znajdują się w wielu muzeach m. in. w Muzeum Narodowym w Warszawie, Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie, Muzeum im. L. Wyczółkowskiego w Bydgoszczy, Muzeum Lenina w Warszawie, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

PAN JERZY

Z prasy dowiedziałem się, że w siedemdziesiątym dziewiątym roku życia odszedł Jerzy Zaruba. Mieszkał, podobnie jak przed wojną, w Aninie pod Warszawą.

Dziewięć lat temu, w lipcu, obchodził siedemdziesiątą rocznicę urodzin i pięćdziesięciolecie działalności twórczej. Koledzy i przyjaciele ofiarowali mu album z rysunkami, wierszami, fraszkami i aforyzmami. Mój czterowiersz brzmiał tak:

Mieszkał Zaruba lat parę i w Łodzi,
dom ten przy Gdańskiej jaśnieje ulicy.
Gdy będzie setną Artysta obchodził
— o wmurowaniu się dowie tablicy...

Niestety, zmarł znakomity twórca — obok Kazimierza Grusa prawdopodobnie najwybitniejszy za naszego życia karykaturzysta — znacznie wcześniej, chociaż prawie do ostatnich lat życia służyła mu dobra kondycja.

Jeszcze kilka lat temu, a był po siedemdziesiątce, dokądś mnie odwoził własnym wozem, prowadząc go w ruchu stołecznym z wprawą, opowiadając jednocześnie anegdoty.

Nazwisko Jerzego Zaruby było szeroko znane. Zetknąłem się z nim jeszcze jako uczeń gimnazjalny w małym miasteczku kresowym, gdy wypożyczałem do przejrzenia od sąsiada — sklepikarza stare numery „Cyrulika Warszawskiego", używane jako makulatura do opakowań. Pismo, świetnie robione, ale często z dowcipami czytelnymi jedynie dla pewnych kręgów, niezbyt widocznie szło.

Potem, po tragicznych latach, zetknąłem się z nim samym, ku swemu miłemu zdziwieniu, w wyzwolonym Lublinie, gdzie Leon Pasternak wydawał „Stańczyka". Generał polskiej karykatury paradował w Lublinie i przez pewien czas w Łodzi — dopóki tutaj wychodziły „Szpilki" — jako porucznik w pelerynie z zielonego brezentu, płaszczu — pałatce, w zawadiacko nasuniętej na ryżawe włosy furażerce. Fajka, tak często tkwiąca w jego ustach, odbierała mu wojskową typowość, zaś ewentualną marsowość twarzy rozfałdowywało poczucie humoru. Zaruba lubił anegdoty, chętnie i umiejętnie je opowiadał, patrzył na wszystko z filozoficznym spokojem causeur'a, zamiast pistoletu nosił ze sobą skórzaną ni to teczkę ni to małych rozmiarów kwadratową walizkę, w której mieściły się rysunki, tusz i pióra.

Sam Jerzy Zaruba tak opowiada o sobie we wstępie do zbioru karykatur, jaki ukazał się w 1954 roku:

„Urodziłem się 17 lipca 1891 roku w Radomiu. Ojciec mój Bernard był profesorem muzyki i kapelmistrzem wojskowym... Około roku 1900 rodzina moja przenosi się do Kijowa, gdzie uczęszczam do gimnazjum klasycznego, a potem od roku 1908 do Szkoły Sztuk Pięknych. Po śmierci ojca przyjeżdżam do Warszawy i przenoszę się do warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, gdzie studiuję pod kierunkiem prof. Lentza... W roku 1912 wyjeżdżam na dalsze studia do Paryża. Przerywa je wybuch wojny. Powracam do kraju, a w roku 1916 zostaję zmobilizowany do wojska rosyjskiego. W roku 1919 znów powracam do kraju, osiedlam się w Warszawie i poświęcam się pracy artystycznej..."

Był Zaruba artystą wszechstronnie utalentowanym. Myślę, a nawet jestem tego pewny, że gdyby zechciał pisać amorficzne wiersze, to i w tej dziedzinie zakasowałby niejednego debiutanta. W jego bogatym dorobku — dwukrotnie ukazał się wybór rysunków Zaruby, co jest u nas wydarzeniem raczej, niestety, rzadkim — znajdziemy karykaturę polityczną i środowiskowo-obyczajową, społeczną i wyłącznie, jeśli tak można się wyrazić rozrywkową. Udawał mu się zarówno Zagłoba jak i minister Beck; Hitler i Mussolini, Franco i Adenauer; sklepikarz i mieszczańska paniusia z fumami, życie dawnej! tak już dawnej Warszawki. Świetnie też umiał uchwycić rysy swoich znajomych. Wystarczyło kilka sztychów. Mało co zmieniając w stylu swojej kreski, potrafił Zaruba być także twórcą przejmującym, o czym mogą świadczyć rysunki z okresu okupacji, skontrastowywał grozę ze śmiesznością. Przechowuję jeden taki rysunek, podarowany mi przez niego.

Trzeba także wymienić jego kukiełki dla szopek politycznych — m. in. do niego należały kukiełki dla pierwszej po wojnie szopki, wystawionej w Łodzi — scenografię dla teatrów.

Że był gawędziarzem sugestywnym, zarówno w mowie jak i w piśmie — o tym świadczą cieszące się powodzeniem, wznawiane wspomnienia pt. „Z pamiętników bywalca".

Odznaczał się wielkim talentem kulinarnym, sam chętnie przygotowywał potrawy, sam swoich gości z wdziękiem obsługiwał.

Lubił dobrze urządzone zacisze domowe. Nic więc dziwnego, że przedwojenny wiersz K. I. Gałczyńskiego „Opis domu poety" rodowód swój z domu Zaruby wywodzi. Zresztą, jest on w nim wymieniony...

Bo, jak mówi Zaruba, mistrz kuchni i kpinek,
nie trunek na frasunek dobry, lecz kominek...

Przepadał za Gałczyńskim, choć ten budził w nim niekiedy na poły żartobliwe zgorszenie.

Nieczęsto zdarzają się tacy jak Zaruba artyści, nie często znajdują się między nami tacy jak Zaruba uroczy ludzie.

Stąd żal, stąd poczucie straty... Nawet nie widując się z nim, dobrze było od czasu do czasu przypominać sobie, że ktoś taki mieszka w Aninie pod Warszawą.

JAN HUSZCZA

CZY ZMIERZCH MALARSTWA?

(DALSZY CIĄG ZE STR. 1)

ny zapewnić sztuka użytkowa, masowo powielana, a więc o wiele łatwiej dostępna niż dawniej. W rezultacie zainteresowanie artystów przeniosło się na nowe techniki, umożliwiające realizację najbardziej nieoczekiwanych pomysłów, a zarazem uwalniające z więzów sztywnej czystości gatunków. Miejsce malarstwa, rzeźby czy grafiki zajmują sztuka kinetyczna, sztuka światła i dźwięku, wreszcie sztuka koncepcyjna. Miejsce trwałych i uświęconych wartości wypełniają procesy afirmujące zmienność chwili, tempo życia, „stawanie się". Bo komu dzisiaj zależy na niezniszczalności dzieła sztuki?

Kontrargumentem przeciw tej teorii pochopnie uśmiercającej potrzebę „myślenia obrazami" — kontrargumentem rzeczowym i przygważdżającym miał być konkurs i wystawa pokonkursowa na obraz sztalugowy. Organizatorom nie chodziło przy tym — jak się przynajmniej wydaje — ani o propagowanie określonych idei twórczych, ani o lansowanie jakichś grup czy kierunków, ani o pomoc materialną dla malarzy, ani nawet o ożywienie środowiska. Spośród wielu możliwych motywów wybrali jeden: uzyskanie nowych, wartościowych dzieł, które by — na wystawie i w ewentualnym zbiorze reprodukcji — potwierdzały tezę, że w latach siedemdziesiątych naszego stulecia malarstwo nadal pozostaje terenem najbardziej intensywnych poszukiwań artystycznych.

W regulaminie konkursu wspomniano o „wysokich walorach plastycznych" przy uwzględnieniu „wszelkich postaw i konwencji", zgadzając się jednocześnie na prace „mające charakter obrazu sztalugowego, wykonane w dowolnej technice". Ale pojęć tych nie zdefiniowano, ani nie sprecyzowano, co wcale nie ułatwiło zadania uczestnikom, jurorom... a także widzom.

Konkursy artystyczne zawsze nasuwają wiele wątpliwości ze względu na brak jednolitych, obiektywnych norm. W dodatku im mniej się stawia ograniczeń, tym trudniej oceniać. Jeżeli dopuszcza się wszelkie konwencje i techniki — to znaczy przyjmuje dzieła w zasadzie nieporównywalne, jeżeli nie narzuca się tematu ani formatu, a także nie rozróżnia grup pokoleniowych — jakie może być kryterium oceny? W danym przypadku, „obraz sztalugowy o wysokich walorach formalnych". Otóż i kość niezgody.

Wobec współczesnego przemieszania gatunków artystycznych obrazem możemy śmiało nazwać każdy utwór, który coś wyobraża, obrazuje. Chodzi więc głównie o wartości treściowe, a nie o technikę realizacji. Ta może być dowolna. Ale pojęcie: obraz sztalugowy jest dość ścisłe — oznacza przedmiot przenośny, namalowany na jakimś podkładzie, czyli po prostu malowidło. Bierze się pod uwagę sposób wykonania, a nie treść.

Jurorzy — na mocy definicji — musieli odrzucić wszelkie kompozycje, nie będące typowymi malowidłami. Musieli też nagrodzić dzieła wykonane najlepiej. Takie kryteria, jak nowość pomysłu, siła wyrazu, bogata zawartość duchowa musiały z konieczności zejść na drugi plan.

Nie znając wszystkich prac nadesłanych na konkurs nie możemy kwestionować werdyktu jury. Ale nie będziemy też bronić stanowiska, że prace nagrodzone reprezentują najwyższą sprawność rzemiosła. Jedno jest jednak pewne — prace te nie znalazły przeciwwagi w nowych pomysłach, w ekspresji czy zawartości duchowej, w cechach, które by mogły wygrać konkurencję z zademonstrowanymi umiejętnościami warsztatowymi.

Jak wiadomo, w sztuce nowoczesnej ceni się przede wszystkim oryginalność, ale bezustanna pogoń za nowinkami doprowadziła do wynaturzeń, które wstrząsnęły samymi podstawami sztuki. Toteż znowu powraca do łask tradycyjne kryterium mistrzostwa. Pojawia się tylko pytanie, czy artyści, którzy od dawna odzwyczaili się od pracowitej dociekliwości starych mistrzów, potrafią sprostać nowym wymaganiom.

Wystawa pokonkursowa pokazuje wyraźnie, że większość uczestników nie dosięga nawet niższych szczebli poziomu mistrzowskiego. Potwierdza jednocześnie fakt, jak trudno dzieło oryginalne i działające zrobić samymi farbami bez pomocy innych materiałów — ruchu, światła i dźwięku. Wbrew pozorom zawsze bowiem łatwiej eksperymentować w nowych technikach, niż pogłębiać stare, rzekomo już wyeksploatowane.

Na wystawie — znak czasu — przeważa malarstwo przedstawiające: od impresjonizmu i koloryzmu poczynając, poprzez symbolizm i prymitywizm, poprzez tendencje postkubistyczne i nadrealistyczne, aż do nowego realizmu, i tzw. nowej figuracji. Razi tu jednak — obok braków warsztatowych — nagminne ubóstwo koncepcji: oklepane tematy, stereotypowe treści, jakby na świecie nie działo się nic, na co warto spojrzeć po nowemu. Również malarstwo abstrakcyjne powtarza ograne formy w nowych niejako układach, przeważnie łącząc przetrawione elementy informalu z różnymi znakami pożyczonymi od nadrealistów, od sztuki „pop", czy nowej figuracji. Na szczęście są wyjątki. I to nie tylko wśród wyróżnionych. Na przykład — i tylko dla przykładu — mały obrazek Szwacza.

Oglądając prace zebrane na wystawie nie czuje się na ogół wysiłku, jaki był celem konkursu. Nie czuje się odpowiedzialności za własne dzieło, które miało być nowym wkładem w dorobek naszej sztuki. Winić za to trzeba przede wszystkim autorów. Do organizatorów można najwyżej zgłosić pretensję, że nie podali z góry ilości prac, które miałyby zawisnąć w galerii w warunkach nie urągających zdrowemu rozsądkowi.

Anna Kramarz-Gruszczyńska — „Będzie słońce". Tkanina ręcznie malowana

Po tylu zarzutach i zastrzeżeniach, jakaż konkluzja? Czyżby rzeczywiście zmierzch malarstwa? Niejeden artysta gotów odpowiedzieć: „Mówcie sobie, co chcecie, ja i tak będę malował". I słusznie, chodzi jednak o to, żeby zdać sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znajdujemy, z nowych funkcji, jakie stają przed sztuką i z roli malarstwa wśród innych dyscyplin. Z tego punktu widzenia konkurs okazał się imprezą pożyteczną. Ujawnił nie wykorzystane jeszcze szanse malarstwa, a równocześnie obnażył wszystkie jego słabości. Pokazał nie tyle miejsca mocne, ile miejsca puste, które można i trzeba wypełnić nową treścią. Na przekór żałobnym dzwonom, wierzmy: nowym malarstwem zawsze potrzebnym.

* * *

Pierwszy ogólnopolski konkurs otwarty na obraz sztalugowy miał na celu uzyskanie dzieł o wysokich walorach artystycznych, które ewentualnie mogłyby stanowić materiał do wydania przez Graficzną Pracownię Doświadczalną ZPAP w Łodzi światłodrukowych reprodukcji barwnych. Zakładano, że przyjęte będą wszelkie prace mające charakter obrazu sztalugowego, wykonane w dowolnej technice — przy najszerszym uwzględnieniu wszelkich postaw i konwencji twórczych.

Była to więc impreza o najszerszym zasięgu krajowym, a miała być — przynajmniej w zamierzeniu — wydarzeniem historycznym i dokumentem aktualnej sytuacji malarstwa. Z tego względu plon konkursu zasługuje na szczegółowe odnotowanie.

Ogółem zgłoszono 774 prace, z czego 12 zdyskwalifikowano wobec niedotrzymania warunków. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpiło w dniu 24 listopada 1970 roku. W skład jury weszli: Marian Jaeschke jako przewodniczący, Józef Kluza z Krakowa, Stanisław Michałowski z Gdańska oraz Michał Bylina i Henryk Stażewski z Warszawy. Na wystawę pokonkursową zakwalifikowano 203 obrazy 150 autorów. Przyznano następujące nagrody:

I nagroda regulaminowa — godło „Dzban" — Wiesław Garboliński z Łodzi. I nagroda specjalna Ministerstwa Kultury i Sztuki — godło „Ryś" — Barbara Stępniewska-Patzer z Gdańska. Dwie równorzędne nagrody drugie przypadły katowiczanom: godło „Dąb" — Roman Nowotarski, godło „Zyga" — Ludwik Poniewiera. Nagrody trzecie otrzymali: godło „Pogoda" — Jacek Antoni Zieliński z Warszawy oraz łodzianie — godło „Świadek" — Jerzy Kudukis i godło „Tapeta" — Benon Liberski. Liberski zdobył również nagrodę specjalną Zarządu Głównego Związku Włókniarzy za pracę o temacie związanym z Łodzią.

Ponadto przyznano 15 regulaminowych wyróżnień, które otrzymali: Jerzy Derkowski, Stanisław Fijałkowski, Bogdan Skopiński, Jadwiga Szmidt-Russ i Ewa Tyc z Łodzi, Grzegorz Moryciński, Teresa Pągowska i Wiesław Szamborski z Warszawy, Włodzimierz Kamiński, Maria Markowska i Czesława Tokarz z Krakowa, Józef Łakomiak i Stanisław Wójcik z Gdańska oraz Danuta Waberska z Poznania i Wiesław Wodnicki z Rzeszowa.

Uderza znaczny procent nagród i wyróżnień przyznanych łodzianom, ale wolno przypuszczać, że artyści miejscowi najbardziej dopisali. Nie wiemy, oczywiście, ile prac nadesłano z poszczególnych okręgów, ale garść danych geograficznych i statystycznych z wystawy może rzucić światło na środowiskowe zainteresowanie konkursem. W galerii Łódź reprezentuje 55 prac 41 autorów, Warszawę 38 obrazów i 29 malarzy, Kraków 33 prace i 24 artystów, Gdańsk 20 prac i 10 autorów, Katowice 16 prac i 12 autorów, Wrocław 11 dzieł tyluż malarzy. Z Bydgoszczy 4 artystów wystawia 7 prac, z Poznania — odpowiednio — 4 — 5 prac, z Rzeszowa 3 — 4 prace. Z Białegostoku, Kielc, Koszalina, Opola, Torunia i Zielonej Góry ujawniło się 13 malarzy z 14 pracami. Nie daje to, co prawda, rzeczywistego obrazu żywotności środowisk; zabrakło na wystawie wielu nazwisk spośród najbardziej znanych w Polsce malarzy, a przecież trudno sobie wyobrazić, żeby wszyscy w czambuł poodpadali. Z drugiej strony ogromna ilość nadesłanych prac, a przede wszystkim liczny udział twórców młodszego pokolenia świadczy o niesłabnącej atrakcyjności malarstwa. Ma to swoją wymowę szczególnie w naszym mieście, gdzie, jak wiadomo, młodzi specjalizują się głównie w sztuce użytkowej. Z tego punktu widzenia konkurs nie zawiódł nadziei.

HENRYK ANDERS — RYSZARD HUNGER

KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI

SKRYTE PRAGNIENIA DEKADENTA

„ZACIEKI" Jana Czarnego, po „Tresowanym motylu" i „Albinosie", są trzecią wydawniczą pozycją jego prozy, którą można uważać za kontynuację i konsekwencję twórczą. Pojawienie się tej powieści jest umotywowane poprzednimi utworami i można ją rozumieć jako konieczność na drodze rozwoju pisarskiej osobowości. Wskazuje ona na coraz lepsze rozumienie charakteru gatunkowego nowej powieści, coraz większą sprawność warsztatową i dalsze wyostrzenie zmysłu obserwacji.

Druga powieść Czarnego pokrewna jest tematycznie z „Albinosem". Tam i tu znajdujemy krytykę półświatka artystycznego, poszukiwanie autentyzmu i kryteriów wartości ludzkiej, ale w „Zaciekach" inna jest perspektywa widzenia świata przedstawianego. Tak jak poprzednio ów półświatek widziany jest oczyma przybysza, człowieka z zewnątrz, tak teraz jest to perspektywa człowieka właśnie z tego kręgu, człowieka, który został przyjęty, zaakceptowany, lecz silnie odczuwa niewystarczalność świata, w którym przebywa. Ale tym bardziej wnikliwe są obserwacje, konflikt jednostki z otoczeniem staje się mniej tępowy, chociaż groziło to przejściem schematu w schemat, od „Straconych złudzeń" do „W poszukiwaniu straconego czasu". I chociaż faktycznie od schematyzmu dzielił Czarnego jeden krok, chociaż balansuje on na tej niebezpiecznej literackiej krawędzi i utwór mógł się stać płytką powieścią z tezą, jednak nie przekroczył tej granicy, o czym zadecydowała lekkość jego groteskowo - surrealistycznej wyobraźni, subtelność dowcipu i swoboda w panowaniu nad tworzywem.

„Zacieki" są powieścią autotematyczną. Kojarzą się z „Weselem" Wyspiańskiego, „Wszystkim na sprzedaż" Wajdy, albo „8 i 1/2" Felliniego. Znajdujemy w nich znamienną dla wszystkich tych dzieł półsenną atmosferę. Bohaterowie znajdują się jakby w stanie maligny, nie działają lecz snują się po życiu, nie ma zdarzeń, są tylko epizody. Bardzo trafnie i z dużym talentem oddał Czarny ten klimat, gdzie granice między snem a jawą są zatarte, w powieści panuje nierealna atmosfera i chociaż technika pisarska jest konwencjonalna, wywodząca się z dobrych tradycji powieści mieszczańskiej, granice między rzeczywistością odtwarzaną a kreowaną są bardzo płynne, autonomiczna rzeczywistość „Zacieków" jest spójna i posiada jednorodność, co jest dużym osiągnięciem autora.

Czarny bardzo trafnie zauważył dziwaczną, niezdrową, posuwającą się do granic obłędu fascynację artystami. I chociaż przyznaje, iż sztuce potrzebna jest garstka „prawdziwych snobów", którzy mogliby być mecenasami, ale nie umie nie dostrzegać negatywnych skutków tego zjawiska. Wacław, główny bohater powieści i jej narrator, powieściopisarz i plastyk, posiada obsesję egzaltowanych dziewcząt. W powieści powraca mi zoginiczny motyw wiwatujących i hałaśliwych „zwolenniczek". Tłumy bezustannie wiwatują na cześć artystów, których wartość nie jest sprawdzona. Społeczeństwo kokietuje artystów, którzy niby arystokraci oddają się urokom dekadencji, nieróbstwa i rozleniwienia, nie szukają niczego innego prócz własnego talentu, szukają jedynie potwierdzenia dla hołdów, które już odebrali i honorariów, które już podjęli. I ludzie ci „skazani na twórczość mają dość wszelkiej, także własnej twórczości". W rzadkich momentach szczerości stwierdzają oni, że zwykli ludzie „nie myślą chyba o nas piszących więcej, niż my piszący o nich". Artyści z „Zacieków" spokojnie przechodzą obok życia, brak styczności z rzeczywistością ukazuje Czarny w świetnej scenie, kiedy pisarze jadący na wieczór autorski rozmawiają o niesamowitym wypadku zabójstwa i samobójstwa. W banalny sposób, bez skrupułów i najmniejszej chęci wniknięcia w rzeczywistość rozmawiają o sprawach życia i śmierci, nie pojawia się najmniejsza refleksja etyczna.

Z podświadomych, konstruktywnych tęsknot Wacława rodzi się opowiadanie „Krowa". Ale z zacieków na psychice oczyszcza go dopiero mordobicie, po którym zaczyna „cośkolwiek rozumieć w sztuce i nie sztuce". Podobnie, w miarę zbliżania się do pointy, oczyszczają się inni bohaterowie.

Chwilami zatraca jednak Czarny poczucie klimatu, który buduje z wielką precyzją. Są momenty, kiedy Wacław staje się zbyt deklaratywny, czasami Czarny sięga po zbyt grube nici, zapominając, iż w ogóle utwór jest szyty z bardzo cienkiej tkaniny. Prostoduszność niektórych wyznań jest rozbrajająca: „Potrzebne mi jest spotkanie. Piszę teraz powieść i muszę mieć pewne spostrzeżenia z terenu". Podstawową metodą twórczą literatów z tego światka jest zaplanowanie powieści, a potem szukanie spostrzeżeń.

Całą powieść wieloznacznie pointuje rozmowa „poszkodowanego na duszy i ciele" Wacława z dwiema uczennicami, dopominającymi się o dedykacje. Tutaj ujawnia się zarówno dowcip przewrotnego aforysty (pamiętamy jego „Fraszki i antyfraszki") jak i umiejętność uciekania od płytkiej dosłowności: „Nie było na świecie ani jednego wybitnego człowieka, który by nie pożył jakiś czas przed śmiercią".

Czarny posiada wielką zdolność metaforyzowania epizodów, uogólniania. Raz okazuje się dobrym kreatorem, kiedy indziej zdumiewa spostrzegawczością. Esej na półserio przeplata się z sytuacjami, które maluje w sposób wizjonerski. Posiada duże wyczucie klimatu poetyckiego i bardzo charakterystycznego, aforystycznego dowcipu. Zacieki na suficie są ciągle metaforyzowane i każda metafora na świetla i interpretuje podaną w powieści rzeczywistość. Z tych metafor tworzy się większa metafora, która prowadzi do uogólnienia. Swoją powieść buduje z wielu warstw, które współpracują w tworzeniu fikcji powieściowej. Umie w delikatny sposób operować wieloznacznością, tak iż nie prowadzi ona do dezorientacji, różni czytelnicy znajdą w „Zaciekach" każdy co innego. Można się domyślać, że istnieje także warstwa dla wtajemniczonych, którzy dysponują kluczem, ci mogą odczytać ostatnią powieść Jana Czarnego jako powieść środowiskową, ale będzie to tylko jeden z jej aspektów i nie tu leży jej istota.

Autotemat jest jednak ostatnim tematem, poszukiwanie tematu po uprzedniej negacji ma w sobie jakiś tragizm artystyczny. „Zacieki" związane są z „Albinosem", ale następna powieść, która miałaby być kontynuacją tej linii twórczej, oparta na zainteresowaniu tymi samymi problemami, byłaby zamykaniem drzwi, które zostały już zamknięte.

Znany pisarz białoruski Janka Bryl zamieścił w tygodniku „Literatura i sztuka" z 18. XII. 70 (Literatura i mastactwa) reportaż wspomnieniowy, dotyczący wzajemnych odwiedzin pisarzy polskich i białoruskich. Wiele miejsca i uwagi poświęcił Broniewskiemu i Przybosiowi — oraz swoim pobytom w naszym kraju. Było ich siedem. Ostatnio Bryl uczestniczył w październikowym zjeździe tłumaczy literatury polskiej w Warszawie. Skorzystał z okazji, by zajrzeć i do Łodzi, a następnie w towarzystwie pisarzy łódzkich — Ewy Ostrowskiej, dyr. Wiesława Jażdżyńskiego, red. Macieja Kononowicza, red. Tadeusza Papiera, dyr. Tadeusza Jaskuły — zwiedzić Kielecczyznę. W obszernym reportażu znalazło się również miejsce na szereg uwag natury ogólniejszej, oraz na omówienie ożywiających się stosunków między literackim Mińskiem i literacką Łodzią, chociaż na pierwsze książki w przekładach trzeba jeszcze niestety czekać. Podajemy kilka luźnych fragmentów z tego reportażu.

WSPOMINKI BRYLA

...Panuje nierówność w stosunkach między naszą a polską literaturą, gorycz z tego powodu odczuwam nie ja jeden. Co prawda, w ostatnich czasach sytuacja nieco się poprawiła. Przynajmniej w wypadku prozy. Zostali przełożeni: Kołas, Łyńkou, Szamiakin, Mieleż, Bykau, przy czym — dwaj ostatni z oryginałów i dobrze. Gorzej z poezją: tylko Kupała i Tank, jak gdyby na odczepnego, zostali uhonorowani małymi zbiorkami, w których i dobór utworów i jakość przekładów zostawiają wiele do życzenia. Zwłaszcza jeśli chodzi o Kupałę.

U nas w ciągu jakichś dziesięciu lat wydano po białorusku utwory Mickiewicza (dwukrotnie), Słowackiego, Konopnickiej, Syrokomli, Broniewskiego, Kruczkowskiego, Korczaka, Brzechwy, Dobrowolskiego, Putramenta, antologię opowiadań współczesnych... itd. Wiele wierszy i opowiadań drukowały nasze czasopisma i gazety. Kilka książek wierszy i prozy ukaże się w najbliższych latach.

Ale nie chcę narzekać, bo to zbrzydło, a i dyshonor — chcę opowiedzieć o Huszczy i o łódzkich przyjaciołach.

Przypadkiem, przejazdem, skromnie, w sposób prawie nie zauważony był Jan Huszcza u nas jesienią sześćdziesiątego ósmego roku. Nie lubi ten człowiek ani frazesów, ani słodkich słówek, nie zauważyliśmy go ani jako poety, ani jako prozaika. A ot przeszły dwa lata i, dzięki inicjatywie oraz, powiedziałbym, przyjacielskiemu wyczynowi Jana Huszczy w łódzkim (wojewódzkim!) wydawnictwie ukaże się antologia poezji białoruskiej, została przygotowana do wydania książka wierszy Bahdanowicza. Wiele wierszy białoruskich w ostatnich czasach ukazało się na stronicach polskich periodyków, wiele rozległo się w radiu. W ciągu dwóch lat. Rzecz jasna, nie robił tego sam Huszcza, pomagano mu i tłumaczyć i drukować w czasopismach i gazetach, znaleźli się kierownicy wydawnictwa, którzy zechcieli wydać. Nie tylko wydać antologię i Bahdanowicza, ale w ogóle wydawać literaturę białoruską razem z litewską, azerbejdżańską, z innymi utworami narodów radzieckich, wydawać z szlachetnym zamiarem uprzytomnienia polskiemu czytelnikowi, że **radzieckie** — to nie tylko **rosyjskie**, lecz że ZSRR — to wielka rodzina narodów, wiele literatur. Pomagali Huszczy przekładać poeci łódzcy: Tadeusz Chróścielewski, Maciej Kononowicz, Igor Sikrycki; na czele wydawnictwa stoi prozaik i publicysta Wiesław Jażdżyński; wiele Białorusianów drukuje łódzki tygodnik literacki „Odgłosy", redagowany przez poetę Jana Koprowskiego.

By zaświadczyć o naszej wdzięczności i pragnieniu przyjaźni w sposób konkretny, pisma białoruskie dość obficie drukowały w tym roku wiersze i prozę Huszczy i jego kolegów — pomocników, wkrótce zaś będzie przygotowana książka o podtytule, bo tytułu jeszcze nie ustalono, z trzech słów: „Poezja czerwonej Łodzi!". Od Tuwima i Broniewskiego — do naszych dni, do najmłodszych poetów.

Niech to będzie pięknym początkiem!...

...Podczas siedmiu wypadów do Polski podziwiałem ją przez sto dni i sto nocy...

Była także Łódź. Niechaj mi wybaczą łodzianie — patrioci, że i teraz, po odwiedzeniu tego miasta katorżnych fabryk i czerwonych barykad w przeszłości, drugiego po stolicy centrum przemysłowego PRL, bujnego ośrodka nauki i kultury — że i teraz nie zapamiętałem jej cech wyróżniających, wyrazistszego oblicza. Wiele ostatnio czytałem wierszy i prozy polskich kolegów, którzy nie tylko mieszkają w Łodzi, ale ją kochają, jednak, jak mi się wydaje, kochają oni swoje miasto nie ze względu na jego wygląd, lecz dlatego, że to miasto rodzinne, że w nim zarówno ludzie jak i sprawy, dzień dzisiejszy i przeszłość zasługują na głęboki szacunek...

Z grupą łódzkich przyjaciół dwoma samochodami wybraliśmy się w niezapomniane Kieleckie...

Przedtem jednak pracowaliśmy: dyskutowaliśmy plany wydań i publikacji. Radziliśmy w wydawnictwie i w redakcji „Odgłosów", w miejskim komitecie PZPR...

...Trudno powiedzieć, gdzie był przypadek, gdzie zaś prawidłowość w tym, że właśnie na kilka tygodni przed podróżą do Polski Gogola czytałem... po polsku, Sienkiewicza — w przekładzie rosyjskim. W pierwszym wypadku zaczęło się od tego, że zapragnąłem przeczytać opis sadu Pluszkina, następnie zapragnąłem od oryginału przejść do przekładu pióra Broniewskiego. Może trochę i dlatego, że tylko na tej, nieste ty, książce, na „Martwych duszach" po polsku mam przyjacielską dedykację Władysława. Zaczytałem się do północy i nie wydał mi się ten wieczór zmarnowany. Czytając, przypomniałem sobie także, że i Dostojewskiego zacząłem kiedyś czytać po polsku — po czynając od „Gracza", również w przekładzie Broniewskiego. Że niektóre utwory Tołstoja („Hadżi Murat", „Za co?", „Modlitwa") przeczytałem najpierw po polsku... Jeszcze jedno budziło moją radość: brzmiały w sposób ogólnoludzki...

...Co zaś do Żeromskiego, to jestem mu wdzięczny nie tylko za to, że „Syzyfowe prace" były kiedyś, w latach szkolnych, jedną z najukochańszych moich książek...

Te myśli sprawiły, że Kielecczyzna, ziemia Żeromskiego, której podziwialiśmy jesienną urodę, była jeszcze piękniejszą...

(X. V.)

ANDRZEJ GRUN

CHCIAŁBYM BYĆ WIEŻĄ EIFFLA?

Ogromna większość naszej plastyki egzystuje w sytuacji terroru. Terroru „nowoczesności". Oczywiście „nowoczesności" w bardzo wielkim cudzysłowie. Zawsze woleliśmy spoglądać na Rzym, na Krym, na Paryż, na Monachium, na Wiedeń niż wokół siebie. Kusiły nas obce miraże, nie bawiła nas nasza codzienność. Polscy postimpresjoniści malowali rodzimy krajobraz po francusku. Formiści kleili okruchy paryskiej i włoskiej awangardy, usiłując zrobić z tego „styl narodowy". Kapiści nigdy nie wyzbyli się balastu przywiezionego znad Sekwany...

Dziś kult „nowoczesności", który jest niczym innym jak tylko kultem mody aktualnej sprawuje rządy absolutne. Każe przenosić na nasz grunt koncepcje obce naszej rzeczywistości, naszym potrzebom, naszemu temperamentowi artystycznemu, naszej psychice. Przykład pierwszy lepszy z brzegu — Kantor. Cóż za wspaniały okaz! Powinno mu się wystawić pomnik „za przyswajanie kulturze polskiej mód wszelkich i aktualności". A te nasze pop-arty i op-arty, te makarony i tomaty, sery i owoce, publiczne podgalania z zielonym groszkiem, te „miejsca kreowane" czy „kreacje umiejscowione", te „ciągi przestrzenno-muzyczne", happeningi... Doprawdy jesteśmy „paryscy", „włoscy", „hiszpańscy", bardziej papiescy niż sam papież. Tylko nie „polscy". Właśnie, być sobą — to ryzyko, że nie będzie się „w kursie", że się rozminie z „nowoczesnością" (to jest z modą). Rezygnacja z własnego „ja" na korzyść gotowego, przez innych wymyślonego wzoru wydaje się być dla wielu programem.

Do lamusa ze „snem o szpadzie" — śnijmy groteskowo-bzdurny „sen o awangardzie". I niech nas nikt z tego nie budzi, bo chórem zakrzykniemy — patrzcie, jaki nie nowoczesny!

Oglądam obrazy Heleny Tchórzewskiej w Salonie na Piotrkowskiej, obrazy, w których snuje się cień Cezanne'a wśród kubizujących form. Gdzie motyw figuratywny przechodzi niespodziewanie w czystą nieomal abstrakcję. Gdzie ekspresjonizm postaci ludzkiej i pejzażu przywodzi na myśl ojców kierunku z lat dwudziestych. Gdzie zaskakuje nas niespodzianie Witkacowska prawie sprężystość koloru i gmatwanina rytmu. Oglądam obrazy, które mogą się podobać lub nie, ale są m a l o w a n e rzeczywiście. Malowane z przyjemnością, czasem nawet z prawdziwą pasją. Tchórzewska nie jest malarzem niedzielnym — malarstwo jest jej zawodem naprawdę. Te obrazy są realizacją określonych założeń, konsekwentnym sumowaniem doświadczeń i przemyśleń, u podstaw których leży wnikliwa i twórcza obserwacja natury.

Ale pokazanie malarstwa własnego, malarstwa z prawdziwego zdarzenia nie wystarcza!

Terror działa!

Tchórzewska pokazuje na koniec dwa obrazy nazwane „Rytmami", obrazy, które zakłócają harmonię wszystkiego, co pokazała. Niechlujne patyki, pineski i inne śmiecie naklejone na białe płótno i oczywiście plama koloru — tak zwany „akcent kolorystyczny". Na drugim, graficznie narysowanym — rury, rurki, rureczki...

Nie pytam po co Tchórzewska tak robi, jeśli robi aż tak inaczej. Takiego pytania zadać nie mogę, bo nie mój to zakichany interes mieszać się w cudze prywatne sprawy. Tchórzewska może robić na płótnach co jej się najżywniej podoba, to jej i tylko jej sprawa. Pytam natomiast, dlaczego pokazuje te obrazy w kontekście r z e c z y w i ś c i e n a m a l o w a n y c h obrazów? Takich, które stanowią niewątpliwy dowód jej indywidualności, świadectwo jej trudu i wrażliwości.

Terror trwa!

I śni się bzdurno-groteskowy „sen o awangardzie"...

Bez liczenia się nawet z samym sobą.

IX

OGÓLNOPOLSKI TURNIEJ CZYTELNICZY ZMS

„SZKOŁA JANCZARÓW"

We wstępie do swojej książki Alojzy Twardecki pisze: „Wywieziony jako kilkuletnie dziecko, przeżyłem swe dzieciństwo i wczesną młodość w całkowicie niemieckim środowisku, w atmosferze języka niemieckiego". Jest to niejako usprawiedliwianiem się wobec czytelnika, że po tylu latach pobytu w Polsce, w ojczyźnie, Alojzy Twardecki swoją książkę „Szkoła janczarów" napisał po niemiecku. Każda trucizna pozostawia po sobie ślad. Nie pomogą żadne kuracje — zmiany wywołane jej działalnością są nieodwracalne.

Alojzy Twardecki, syn polskiego oficera, został porwany przez hitlerowców i wywieziony do Rzeszy, gdzie miał być wychowany na przyszłego „nadczłowieka", w pogardzie do wszystkiego co polskie. Adoptowany przez niemiecką rodzinę, z życiorysem spreparowanym przez specjalistów od rasizmu, żyje jako Alfred von Hartmann w Koblencji, wierząc głęboko, że wszystkie nieszczęścia ostatniej wojny są dziełem Polaków i Rosjan. Dopiero starania matki za pośrednictwem PCK i Polskiej Misji Wojskowej, obszerna korespondencja, nieustępliwa walka o odzyskanie syna, doprowadzają do tego, że chłopiec przyjeżdża do ojczyzny.

Podjęcie decyzji o pozostaniu w Polsce nie przyszło łatwo. Niełatwe także były początki adaptacji w nowym środowisku i całkowicie nowych warunkach. Nie było punktów wspólnych, wszystko dzieliło. Lecz upór i świadomość, że znalazł się na powrót w ojczyźnie — sprawiły, że dzisiaj Alojzy Twardecki może powiedzieć: „Nie wybrałem Polski dlatego, że ma ten czy inny ustrój, wybrałem ją, ponieważ jest moją ojczyzną".

Książka „Szkoła janczarów" jest opowieścią o dramacie tysięcy dzieci, z których nie wszystkim udało się powrócić do swoich domów.

Alojzy Twardecki: Szkoła janczarów. Iskry. 1969. Stron 256. Cena 14 zł.

„SZCZĘŚCIARZ"

Egzotyka Wschodu i urzekający klimat narracji postawiły tę książkę w rzędzie najciekawszych w dotychczasowym dorobku pisarskim Wojciecha Żukrowskiego. Dwa miniaturowe opowiadania „Pora monsunów" i „Szczęściarz", składające się na niewielkich rozmiarów książkę, stanowią ciekawy przyczynek do spraw rozgrywających się na wschodnich krańcach Azji. Żukrowski, który przez jakiś czas przebywał w Wietnamie, zetknął się z brutalnością tamtejszej wojny, z jej następstwami, z całym tragizmem i bohaterstwem ludzi walczących o własną niezależność. Toteż, gdy w „Szczęściarzu" śledzimy losy Roberta Malaka, skazanego na śmierć (choć nikt nie wydał ani nie odczytał takiego wyroku) nie możemy oprzeć się wrażeniu, że jego obecność w zielonym piekle dżungli jest absolutnym nieporozumieniem. Ludzie, którzy go uprowadzili ze sobą i spokojnie oczekują jego śmierci, nie są jego wrogami. Przyjechał tu jako dziennikarz i obserwator, zapominając, że w surowych warunkach wojny nie ma ludzi neutralnych na linii frontu. Idąc przez ogień niepodobna się nie sparzyć. Stąd tragiczne konsekwencje, tym okropniejsze, że wynikające z nieporozumienia, beznadziejne wyczekiwanie na ocalenie, w końcu to, co miało się stać: spotkanie ze śmiercią. I choć autor nie mówi o tym wyraźnie, czuje się jej nieustający lot nad wędrującą grupką ludzi. A wszystko to na tle urzekającej i obojętnie pięknej przyrody, w scenerii egzotyki, wśród szczepu Meosów.

W opowiadaniu „Pora monsunów" wspólnie z bohaterem przeżywamy śmierć małego dziecka. Lecz historia tragicznego lotu, w którym to się zdarzyło, nie jest najważniejszym motywem tej miniatury prozatorskiej. Sprawy, o których pisze Żukrowski, daleko wykraczają poza samo zdarzenie.

E. L.

Wojciech Żukrowski: Szczęściarz. PIW. 1968. Stron 164. Cena 12 zł.

Listy do redakcji

JESZCZE O WYSTAWIENNICTWIE

Doprawdy z radością przeczytałem mini-list w „Odgłosach" nr 1, podpisany przez p. Jerzego Jankowskiego — domyślam się, że wiceprezesa Zarządu Okręgu ZPAP, będący odpowiedzią na moich kilka uwag („Deliberacje o wystawiennictwie" w 47 numerze tegoż pisma z 1970 r.) o jesiennych wystawach artystycznych w Łodzi. Ale ani furia polemisty, ani próba prostowania błędnych rzekomo sformułowań nie podważyły moich rzeczowych zarzutów. Nie wyjaśniły mi, dlaczego Biuro Wystaw Artystycznych nie jest jeszcze placówką samodzielnie, programowo (czy kontrowersyjnie) upowszechniającą plastykę współczesną w mieście.

Wcześniej spotkała mnie reprymenda prezesa Benona Liberskiego, nie powiem, rzeczowa, można było nawet w kilku punktach się z nim zgodzić.

Poziom i ton wypowiedzi pana Jerzego Jankowskiego w zasadzie zwalnia mnie od odpowiedzi. Jeśli więc zabieram głos, to przede wszystkim dlatego, żeby uzupełnić zagadnienia poruszone w moim artykule.

Przyjrzyjmy się najpierw słowu „deliberacje" — aby zbadać, czy ma uzasadnienie użycie tej nazwy w tytule mego artykułu. Słowo łacińskie oznacza: zastanawiać się, rozważać, naradzać się... dosyć! dosyć... A „wystawiennictwo"? O nim właśnie pisałem, zaś w liście Jerzego Jankowskiego każde zdanie, ba, nawet każde słowo utwierdza owo „niedobrze" wystawiennictwa łódzkiego.

Potraktujmy — stosując poczciwą metodę prób i błędów — poszczególne słowa jako znamienne, nazwo-obraźliwe obserwując jak na postulat odnowy życia plastycznego reagowały niektóre „nietykalne, święte osoby", upominając się u WŁADZ nagany dla niefortunnych publicystów, to oczywiście tylko przekonuje, że artykuł („Deliberacje") funkcjonował konkretnie. Bowiem: „uderz w stół a nożyce się odezwą". Naraz zaczynamy sobie zdawać sprawę, że specyficzne upodobanie Organizatorów Życia Plastycznego dla nazwowych zgrubień słowa „upowszechnianie" i zrobień „brak galerii" jest jak najbardziej prestiżowe, że działalność ich ma pozory życia. Większość wystaw pokonkursowych, gdy je pozbawić pozorów, właśnie przy próbie z r o z u m i e n i a okażą się płaskie, znaczące niewiele lub nic.

Taka jest prawda, jak „specjaliści" z urzędu, pardon, z „Zarządu" decydują o wystawiennictwie łódzkim („Teoria znana"); dlatego tak oficjalnie, monotonnie, markotnie w miejskich galeriach. **Otóż najlepiej nawet ułożony plan wystaw BWA nie da żadnego rezultatu bez szerokiego działania upowszechniającego sztukę... I tu jest pole do popisu dla „specjalistów" z „urzędu", pardon, z „Zarządu"** Brak tylko pointy, kto, jak ma zmieniać rzeczywistość. Jak robią to członkowie „Zarządu"? Myślę, że dobrze, skoro są wyróżniani, poklepywani itd. Przepraszam, może nie we wszystkim mam słuszność, agitując BWA do czynów — ale w takie ułagodzone środowisko artystyczne, jak nasze plastyczne, warto „kij jak w mrowisko wetknąć i... czekać" na szczerą dyskusję i potrzebne listy.

Antoni Szram

★

SZANOWNA REDAKCJO!

Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytałem w „Odgłosach" z dnia 3. I. 1971 r. artykuł pt. „Ulica Zielona nr 6". Wszystkie podane w nim fakty zgadzają się z rzeczywistością, mogę to stwierdzić, bo jako 7-letnie dziecko wraz z siostrą i bratem, którzy dotąd żyją, byliśmy świadkami całej tej sprawy. Nie zgadzam się więc z twierdzeniem p. Golasa, że nikogo z ówczesnych lokatorów tego domu nie ma na świecie.

Matka moja, Helena Zaborowska, była w 1912 roku nauczycielką języka francuskiego w Szkole Handlowej p. Waszczyńskiej, ul. Zielona 15, a ojciec, Józef, miał przedstawicielstwo firmy „Tarnowski, Zaleski i S-ka" — hurtownia spirytusu denaturowanego. Mieszkaliśmy na Zielonej 6, na parterze. Od ulicy był sklep z lampami, żelazkami, piecykami, etc. ogrzewanymi spirytusem, za nim mieszkanie dla naszej rodziny, z którego wychodziło się na klatkę schodową, tę właśnie, na której szczycie schronił się tow. Drynia. Rozgorzała niebezpieczna walka, lokatorzy opuścili dom, ale nasz ojciec był odważny i nie chciał opuścić mieszkania, tym bardziej, że bezustannie korzystali z niego policjanci i żandarmi, jako z dogodnego pasażu na ulicę. Przejście przez podwórze było niebezpieczne, groziło postrzeleniem z okna strychu, na którym umieścił się tow. Drynia.

Pamiętam, kiedy przyniesiono spodnie zastrzelonego żandarma (tow. Drynia widocznie ich nie wziął). Policjanci opróżniali kieszenie: kluczyki od mieszkania, miedziane kopiejki, chustka do nosa, skromny dobytek człowieka, który jeszcze niedawno żył. Mam też w oczach chwilę, kiedy niesiono zabitego przez podwórze — miał twarz owiniętą bielizną i wtedy już mieliśmy podejrzenie, że to żandarm, bo widzieliśmy spodnie, a nie było człowieka, który je przedtem nosił.

H. B.

(nazwisko i adres znane redakcji)

★

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

To przykre, że zorganizowane przez Łódzki Zarząd PTTK do Bukowiny wczasy o szumnej nazwie „Karnawał w Tatrach 70/71" nie mają nic wspólnego (poza tytułem) z tą imprezą. W innej bowiem imprezie chcieli uczestniczyć „nabijani w butelkę" łodzianie którzy, zastając bez wieszaków, szaf, odpowiedniej ilości krzeseł, źle oświetlone, nie ogrzane i często bez urządzeń sanitarnych — bardzo prymitywne kwatery, wyzbyli się swoich złudzeń w zderzeniu z tak smutną rzeczywistością. A o resztę dla tych zdezorientowanych i rozrzuconych po całej Bukowinie ludzi, postarali się „karnawałowi organizatorzy", których rażący brak zainteresowania wczasowiczami doprowadził do tego, że ich jedyną rozrywką, stało się codzienne liczenie dni do wyjazdu. Gdyż poza ujętymi w programie imprezami (wycieczka do Doliny Kościeliskiej, nieudany kulig do pobliskiej bacówki), jedyną wycieczką do Morskiego Oka, o zorganizowaniu jakichś innych atrakcji w Klubie Łodzian „Słoneczko" nikt nie myśli. Być może istotnie świeci tam słońce, jeno nie dla nas szarych ludzi, którzy sami za własne i ciężkie pieniądze (około 125 zł dziennie) skazaliśmy się na dobrowolną pokutę. Przestrzegamy przed nią swoich bliskich i nie życzymy jej nawet wrogom.

Jedyną, niezależną od PTTK rekompensatą tego nieudanego organizacyjnie pobytu była łaskawa dla nas aura, piękne okolice Bukowiny, oraz dobra kuchnia nieskażonych cywilizacją góralek. O czym zawiadamiają siedzący na walizkach i tobołkach koło Krzyżówki, przed Klubem Słoneczko, rozgoryczeni uczestnicy nie rozpoczętego jeszcze karnawału, którzy przez lornetkę wypatrują autokaru z napisem „Łódź". Zamiast podziękowań i życzeń Noworocznych składamy Z.O. PTTK w Łodzi nasze podpisy.

Wczasowicze
(25 podpisów)

Spektakle tygodnia

	Spektakli	Widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Królewna Śnieżka"	3	3780	100
„Orfeusz w piekle"	1	1260	100
„Aida"	1	1123	97
„Lohengrin"	1	1119	96
NOWY			
„Będę mówił szczerą prawdę"	3	2100	100
„Zemsta"	1	700	100
„Za siedmioma górami"	2	1400	100
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	1	630	90
NOWY — MAŁA SALA			
„Rodeo"	1	100	50
„W małym dworku"	2	300	75
POWSZECHNY			
„Zatopione królestwo"	2	1320	100
„Wszyscy moi synowie"	1	660	100
„Profesja pani Warren"	6	3000	90
JARACZA			
„Król Edyp"	4	2188	99
„Wszystko w ogrodzie"	2	724	66
„Tajemniczy ogród"	2	1072	97
7.15			
„Łeztern"	3	1252	99
„Grube ryby"	3	645	51
OPERETKA			
„Dama od Maxima"	6	3933	58
FILHARMONIA			
Koncert symfoniczny	1	600	80

TV OBIEKTYW

KOMU „ZŁOTE EKRANY"?

Nim te słowa, które piszę, dotrą do rąk czytelnika, podział „Złotych ekranów 1970" będzie już powszechnie znany. Zaczną się z pewnością debaty i dyskusje, a wiele osób uważać będzie przydział tegorocznych „ekranów" za niesłuszny. Ponieważ jako autor zajmujący się stale problematyką telewizyjną zaproszony byłem w tym roku przez redakcję tygodnika „Ekran" do udziału w pracach jury, pragnę podzielić się z czytelnikami T-O kilkoma uwagami.

Jury nie przyznało w tym roku „złotego ekranu" w dziedzinie rozrywki telewizyjnej. Nie jest to komplement dla naczelnej redakcji rozrywki i jej wodza — Witolda Fillera. Ale przyglądając się sine ira et studio zestawowi cyklicznych i pojedynczych programów rozrywkowych, stwierdzimy istotnie brak kandydatów do wyróżnienia.

„Kariera" Fedorowicza i Gruzy? Programy tego świetnego duetu nie były krokiem w przód w stosunku do „Poznajmy się", czy „Małżeństwa doskonałego". „Steposzczak-show"? — Blamaż na całej linii. Nowe programy Przybory? Smętny cień „Kabaretu Starszych Panów". Nie! Stanowcza posucha.

Ale i z Teatrem TV nie było najlepiej. Tu wybór był już, oczywiście, większy, ale żaden spektakl nie wybijał się zdecydowanie, nie stał się wydarzeniem artystycznym. Chciałoby się wyróżnić przede wszystkim widowisko oparte o tekst oryginalny zaangażowane w sprawy współczesności. Cóż, kiedy żadne z nich nie stało na odpowiednim poziomie artystycznym! Jury bardzo było niezgodne, zarządzano raz po raz balotażowe głosowania.

Jako zwycięzca wyłonił się wreszcie spektakl „Gody życia" Stanisława Przybyszewskiego w reżyserii Macieja Prusa i wykonaniu aktorów kaliskich. Za widowiskiem przemawiała świeżość i ambicja młodego zespołu, jak i czystość secesyjnej stylistyki inscenizacyjnej. Przyznaję szczerze, że do końca głosowałem przeciw tak wysokiemu wyróżnieniu tego dość błahego spektaklu. Ale niezadowolenie moje pomniejsza fakt, że i kontrkandydatury były słabe.

Nagroda za najlepszy program ogólnopolski przygotowany przez ośrodek regionalny przypadła TV Wrocław i widowisku „Rzecz o zagładzie miasta" Wiesława Wodeckiego. Niestety, żaden program łódzki nie znalazł się wśród kontrkandydatów!

Zdecydowanie lepiej kształtowała się sytuacja w dziedzinie publicystyki. Tu było w czym przebierać. Ostateczna konfrontacja odbyła się między reportażami Józefa Błachowicza („Gorzki smak wody", „Sporu rok trzynasty", „Miejsce, w którym żyjemy") i programem Ambroziewicza i Rolickiego „Godzina szczerości". Tak się złożyło, że o reportażach Błachowicza nie pisałem w T-O. Naprawię to przy najbliższej okazji bo publicystyka tego ambitnego autora na to zasługuje. Tyle w niej pasji, zaangażowania, stronienia od łatwych rozwiązań, a jednocześnie skromności i szczerego zatroskania! Tutaj „złoty ekran" trafił z pewnością w dobre ręce.

W dziale filmu telewizyjnego rzecz była bezdyskusyjna. „Kolumbowie" w reż J. Morgenszterna stali się dużym wydarzeniem artystycznym i pozaartystycznym, powitanym z jednakowym aplauzem przez starsze i młode pokolenie. Każdy też przyjmie chyba z sympatią nagrodę za najlepszą kreację aktorską męską dla jednego z głównych wykonawców ról w „Kolumbach", rozwijającemu się świetnie Janowi Englertowi.

Nagroda za żeńską kreację przypadła zawsze znakomitej Halinie Mikołajskiej. Jury chciało wprawdzie nagrodzić któraś z młodych aktorek, dla której „złoty ekran" byłby dopingiem. Rozpatrywaliśmy kandydatury Emilii Krakowskiej, Anny Seniuk, Ewy Wiśniewskiej, ale wniosek końcowy brzmiał: jeszcze poczekajmy...

W osobie świetnego gawędziarza Michała Sumińskiego nagrodziliśmy jednocześnie pożyteczną pracę redakcji programów dziecięcych. Zasłużone wyróżnienie przypadło również interesująco prowadzonej od lat „Eurece". Dodatkowy „ekran" przyznano realizatorom widowiska plenerowego na danego w dniu 22 lipca z Wrocławia.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

P.S. Dokończenie rozważań na temat scenografii TV — za tydzień. Zadecydowała o tym przesunięciu aktualność dzisiejszego felietonu.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Ingmar Bergman jest twórcą, który zawsze liczyć może na swoją publiczność. Podpisuje te, mimo wszystko nieliczne w dziejach kina, filmy, na które chodzi się kierując nazwiskiem reżysera. Owa wierność Bergmanowi w naszym kraju ma swój wymiar szczególny, zważywszy przedziwne losy filmów wielkiego Szweda na naszych ekranach. Gdy porównujemy owe losy ze sposobami prezentacji polskim widzom na przykład filmów F. Felliniego, przyznać musimy, że twórczość tego ostatniego pokazywano nam sukcesywnie i w całości. Bergmana poznajemy niekompletnie i niechronologicznie. Po polskiej premierze „Persony" z 1966 roku pokazano nam „Jak w zwierciadle" z 1951, a ostatnio w kinach studyjnych i DKF-ach można obejrzeć „Źródło" z 1969 r.

Drogę Felliniego od „Wałkoni" po „8½" łatwiej nam odszukać, łatwiej twórczość tę smakować i interpretować. Okazjonalne spotkania z Bergmanem muszą pozostawić luki, które w przypadku artysty, którego zwykło się nazywać filozofem ekranu, są szczególnie przykre. Jeśli mimo tego Bergman i w Polsce ma swoją wierną publiczność, uznać to należy za prostą konsekwencję przykazań sformułowanych przez niego samego. Główne przykazania artysty brzmią bowiem według Bergmana następująco: 1. budzić zawsze zainteresowanie, 2. być zawsze wiernym swemu sumieniu artysty, 3. każdy film uważać za swoje dzieło ostatnie (Serwis Prasowy, 3/70). Mimo więc tego, iż nie możemy „ŹRÓDŁA" usytuować w całości twórczości Bergmana, snując refleksje wokół tego filmu starajmy się pamiętać o trzech bergmanowskich zasadach. W „Źródle" Bergman pozostaje wierny sobie — problemom, które uczynił głównym wyznacznikiem swej twórczości. Określa go pytanie o sens istnienia, o szansę człowieka, którego fizyczne istnienie skazuje na niemal zwierzęcą walkę o byt, a instynkt jest motorem działania. Bohater Bergmana posiada jednakże i duszę — przeżywa zatem dramaty, których źródłem jest niemożność pogodzenia się ze światem, w którym rządzą prawa biologiczne, w którym człowiek jest bezradny wobec wyroków losu oraz zła, czynionego przez innych ludzi i przez niego samego, wobec grzechu. Bohater Bergmana szuka ratunku przed samym sobą i przed złem w ogóle, a szuka go uparcie u Boga.

Te egzystencjalne rozterki są w „Źródle" dane ludziom czasów średniowiecza. Piękna, stara skandynawska legenda o straszliwej zemście ojca za śmierć córki uzyskała w rękach Bergmana kształt prostego, lecz niezwykle pięknego moralitetu. „Źródło", gdybyśmy nawet zachowali intelektualny dystans wobec jego filozoficznych podkładów, pozostaje w naszej pamięci jako wzór możliwości osiągnięcia niezwykłej wprost harmonii wszystkich elementów dzieła, których głównymi wyróżnikami są przeplatające się piękno i brzydota świata. Sugestywność swej własnej wizji średniowiecza — z jego względnie prostymi układami międzyludzkimi, surowością człowieczej egzystencji, umiejscowionej zarówno w świecie nieopanowanej przyrody, jak prymitywiźmie elementarnej codzienności — osiągnął Bergman mistrzostwem obrazowej narracji. Nie zląkł się Bergman zarzutów naturalizmu, stosuje go z pełną świadomością artysty odpowiedzialnego za ostateczny kształt i wymowę swego dzieła.

***

Zabawna od wielu lat moda na długie i zawiłe tytuły filmów omijała dotychczas nasze ekrany. Nie mylę się chyba, iż tytuł amerykańskiej komedii „JEŚLI DZISIAJ JEST WTOREK, TO JESTEŚMY W BELGII" bije dotychczasowe rekordy długości. Sądzić można, że ten intrygujący tytuł, przyciągnie do kin widzów, którzy zresztą nie wyjdą zawiedzeni. Komedyjka bowiem zawiera uroki, które dla większości z nas naprawdę nigdy nie będą dostępne. Choć czołówka filmu o tym nie informuje, przypuszczać można, że film zrealizowano na zamówienie biur podróży i wycieczek zagranicznych. Podkpiwa sobie film wprawdzie z amatorów wycieczek, w czasie których w ciągu osiemnastu dni zwiedza się dziewięć krajów, to jednak w zamian serwuje takie uroki, że trudno się oprzeć ochocie uczestniczenia w tym wycieczkowym maratonie.

Jak na komedię przystało, realizatorzy nie poprzestali na eksponowaniu pięknych widoków i kuszeniu atrakcjami Soho czy Wenecji, ale wciągają nas w sieć najróżniejszych perypetii zwykłych amerykańskich zjadaczy chleba, którzy uciuławszy trochę dolarów pozwalają sobie na szaleńcze ich marnotrawstwo, ruszając na podbój Europy. Perypetie te ułożone są według dwóch schematów — Amerykanin w Europie i Amerykanin pozbywający się, wprawdzie na krótko, swej stałej skóry. Postacie te odtwarzają świetni aktorzy charakterystyczni, których nigdy w kinie amerykańskim nie brakowało. Stwarzają bohaterów tyle samo zabawnych, co autentycznych.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

ODNALEZIENIE MARMUROWEJ GŁOWY DŁUTA PRAKSYTELESA

Pod ścierką do kurzu w piwnicy Brytyjskiego Muzeum w Londynie odnalazła się ostatnio marmurowa głowa słynnej rzeźby „Afrodyty Knidyjskiej". Wykonał ją Praksyteles (IV w. p.n.e.) obok Skopasa i Lizypa jeden z trzech największych rzeźbiarzy swej epoki. Znaleziona głowa uchodziła od dawna za zaginioną.

Tego niezwykłego odkrycia w piwnicy Brytyjskiego Muzeum dokonała amerykańska archeolog, Iris Love, która w roku 1969 zidentyfikowała ruiny świątyni Afrodyty na półwyspie Knidos w Turcji. Cenne resztki tej świątyni w trzystu pięćdziesięciu skrzyniach przewiózł do Anglii sto lat temu brytyjski archeolog sir Charles Newton. Od tej pory przeróżne szczątki i fragmenty budowli, rzeźb, ceramiki i szeregu innych zabytkowych przedmiotów z Knidos spoczywały w piwnicy Brytyjskiego Muzeum. Iris Love badając starannie katalog muzeum natrafiła na notatkę, z której wynikało, że w piwnicy znajduje się marmurowa rzeźba jakiejś głowy. Gdy Love odnalazła ową głowę i ściągnęła z niej szmatę do kurzu wykrzyknęła: „Oto tu jest!". Była to bowiem oryginalna głowa Afrodyty Knidyjskiej, znanej dobrze, ale jedynie z kopii pochodzących z czasów starożytnych.

Niestety odnaleziona głowa jest częściowo uszkodzona, Ma wyszczerbione nos, usta, podbródek. Idealnie jednak odpowiada kopiom. Nie ma więc wątpliwości, że wyszła ona spod dłuta Praksytelesa. Reszta posągu jest od dawna zaginiona, Afrodyta Knidyjska była pierwszym w dziejach rzeźby wyobrażeniem bogini ukazanej w całkowitej nagości.

Niektórzy z dziennikarzy żartują, że bogini miłości, Afrodyta specjalnie jest łaskawa dla Iris Love, bowiem jest nazwisko znaczy po angielsku „miłość".

PIERRE BAUDOIN

Niedawno zmarł mało znany, lecz ogromnie zasłużony w dziedzinie rozwoju tapiserii, Pierre Baudoin. Dzięki swej doskonałej znajomości tkactwa dekoracyjnego oraz wybitnemu poczuciu estetyki, pomógł on wielu współczesnym artystom w ich próbach wypowiedzenia się w dziedzinie tapiserii.

Pierre Baudoin urodził się w roku 1921 w Paryżu. Zaraz po wojnie był profesorem rysunku i historii sztuki w Aubusson, a następnie wykładowcą w liceum w Sèvres. Współpracował z wielu malarzami m. in. pomagał Picassowi przy realizacji jego projektów tkanin dekoracyjnych. Od roku 1948 Baudoin był współpracownikiem Le Corbusiera. Dzięki wspólnym wysiłkom Baudoina i rzeźbiarza Adama udało się osiągnąć w technice tapiserii niezwykłą gamę odcieni szarości, jaką dotychczas udawało się uzyskać jedynie w grafice. Wynik ten osiągnięto w tkactwie dekoracyjnym nie poprzez zastosowanie szarych nici w różnych odcieniach lecz przez splatanie nitek czarnych i białych w odpowiednim stosunku ilościowym.

Pierre Baudoin pracował również z innymi artystami takimi jak: Calder, André Masson, Max Ernst, Lapicque, Braque i inni.

Pierre Baudoin. Rysował Lagrange.

LITERATURA I ALKOHOLIZM

Ponad jedna trzecia amerykańskich pisarzy w wieku ubiegłym to alkoholicy. Wśród sześciu amerykańskich laureatów Nobla w dziedzinie literatury pięciu było nałogowymi alkoholikami. Fakty te skłoniły waszyngtońskiego psychiatrę dr Donalda Goodwina do podjęcia badań, które mają na celu wyjaśnienie zależności między alkoholizmem a pisarstwem.

No, cóż! Musimy poczekać na wyniki badań szanownego doktora. Co do nas, przynajmniej na naszym gruncie, nie zauważyliśmy dodatnich wpływów picia wódki na literaturę.

ZAGŁADA KULTURY MAJÓW

Po drugiej wojnie światowej w dżunglach Meksyku i tropikalnych lasach Gwatemali pojawiły się liczne karawany turystów ciągnące do miejsc, w których zachowały się starożytne zabytki kultury Majów. Jak wiadomo Indianie szczepu Majów rozwinęli wysoką kulturę w wiekach V do XV, która uległa zniszczeniu przez najazd Hiszpanów. Ale owi turyści pojawiający się licznie w Meksyku i Gwatemali odbywali swe wędrówki by najmniej nie w celach krajoznawczych. Rabowali i kradli to co ocalało i co się wywieźć dało. Równocześnie na międzynarodowym rynku sztuki ceny przedmiotów kultury indiańskiej zaczęły piąć się gwałtownie w górę. I dziś cena oferowanego muzeum Nowojorskiemu fryzu ze świątyni v Jukatan wynosi pół miliona dolarów.

Rabusie w sposób barbarzyński niszczyli zabytki. Odłupywali siekierami płaskorzeźby i fryzy, kładli ogień pod kamiennymi bryłami wspaniałych budowli, potem polewali je wodą by kamienie pękały i dawały się łupać. Fragmenty budowli odpiłowywali motorowymi piłami. Olbrzymi ładunek takich odpiłowanych i odrąbywanych fragmentów wykryła kiedyś policja na rzece. Rabusie przewozili zrabowane skarby kultury Majów z Gwatemali do sąsiedniego Hondurasu Brytyjskiego. Na lotnisku w Houston w Teksasie odkryto kiedyś kilka skrzyń z zabytkami, gdy przypadkiem otworzyła się jedna z nich. Złodzieje wywozili wszelkimi środkami transportu zabytki z ośrodków kultury Majów. Skrzynie przewożono na mułach, łodziami, ciężarówkami, a nawet helikopterami. Tworzyły się całe bandy eksploatujące zabytki i wywożące je z Gwatemali i z Meksyku. Nieste ty nabywcami byli i są nie tylko prywatni kolekcjonerzy na całym świecie. Skarby Majów są zakupywane przez renomowane sklepy z antykami w miastach Meksyku, jak i w Nowym Jorku, Kolonii, Paryżu, Lozannie. Skupują je też i muzea. Spustoszenia jakich dokonywują ci grabieżcy świadectw kultury Majów, mogą być porównane jedynie do tych grabieży i spustoszeń jakich dokonali Hiszpanie w 15 stuleciu gnani żądzą złota i drogich kamieni.

Archeologowie znają listę blisko 130 zabytków, częściowo opisanych w literaturze fachowej i w większości skatalogowanych lecz w ostatnich czasach skradzionych, zniszczonych lub w nielegalny sposób wprowadzonych do międzynarodowego handlu sztuki. Częstokroć zresztą kolekcjonerzy prywatni nie chwalą się posiadaniem zrabowanych dzieł.

Wielka wystawa w muzeum nowojorskim, reprezentująca 300 eksponatów sztuki i innych zabytków kultury Majów bynajmniej nie cieszy archeologów. Po tej wystawie bowiem ceny na poszczególne eksponaty jeszcze bardziej wzrosną.

Być może wysiłki zmierzające do wytępienia grabieży i kradzieży skarbów kultury Majów odniosą jakiś skutek. Podpisywane są w tym celu umowy międzynarodowe. Oferowany Metropolitan Museum fryz ze świątyni Majów na półwyspie Jukatan ma być zwrócony Meksykowi.

W tej chwili rabunek i rozproszenie zabytków utrudnia niezmiernie uczonym badania nad przeszłością Majów, którzy kultywowali astronomię i matematykę, uprawiali sztukę, mieli wspaniałe osiągnięcia w dziedzinie architektury, rozwijali medycynę i biologię.

Odwrotna strona lustra z polerowanego kamienia półszlachetnego. Ok. IX w.

Przepiłowana płaskorzeźba z VII w.

WYSTAWA SALVADORA DALI W BADEN-BADEN

Po wieloletnich przygotowaniach w bieżącym miesiącu otwarta zostaje w Baden-Baden w NRF wielka retrospektywna wystawa słynnego, znanego z dziwactw i wybitnych obrazów surrealistycznych, malarza Salvadora Dali. Na wystawę wypożyczone zostały dzieła z wielu krajów europejskich i Stanów Zjednoczonych, zarówno z muzeów jak i u kolekcjonerów indywidualnych. Jeden z pierwszych kolekcjonerów dzieł Daliego, sir Edward James wypożyczył bardzo bogate zbiory, przede wszystkim wczesne dzieła malarza. Część ich nie była jeszcze nigdzie wystawiana. Z Nowego Jorku Fundacja Cheatham wypożyczyła na wystawę 35 kosztownych ozdób według projektu Salvadora Dali. Przedmioty te po raz pierwszy pokazane są w Europie.

Bez strachu

CZEKANIE

Zapaliłem gaz i wstawiłem czajnik z wodą. Czekam na zagotowanie się wody, czekam na herbatę. To mała sprawa zaledwie z pięć minut czekania, ale dlatego w ciągu tych pięciu minut nie zdołam zrobić nic innego tylko czekać i właśnie dlatego czekanie uintensywnione staje się dużym czekaniem. Pamiętam czekanie na sprawy tak wielkie, że nie ośmielę się ich tu przytoczyć — czekanie trwało przez miesiące i lata, ale przecież nie były to miesiące i lata puste, wypełniały je sprawy bieżące, sprawy, które niesłusznie uważałem za drobne — a potem kiedy nadeszły owe sprawy wielkie, okazały się one drobnymi, a tam te szare, bieżące sprawy wcale nie były drobne. Czekanie na sprawy przed wcześnie uznane za wielkie — to wcale nie było wielkie czekanie. Małe czekanie może trwać przez pięć lat, a wielkie czekanie przez pięć minut, ciężar gatunkowy spraw zmienia się w czasie ich napływu i zmienia się także napięcie czekania. Czekający niekiedy sądzi, że już zaszło to na co czekał, mimo, że nie zaznał spełnienia — godzi się, aby cokolwiek uznać za upragniony cel. Kim innym był w czasie czekania, kim innym potym, co uznał za spełnienie. Niewierny własnej nadziei, pogodzony z czymkolwiek, uznaje czekanie za kategorię bytu oddzieloną od czasu i przestrzeni, w pewnym sensie nadrzędną. Wzmagając i osłabiając natężenie czekania, rozciąga minuty do rozmiarów godzin, bądź kurczy je do sekund. Uintensywniając czekanie osiąga pełną, do granic bólu wiodącą świadomość. Ja czekałem w tym właśnie momencie na konkret, który mi streści, wykaże dotychczasowe rozważania i oto słyszę tykający zegar, zegar bardzo głośno tykanych sekund. Nie było to czekanie określone, sprecyzowane mimo, że dotyczyło konkretu. Wielu jednak czeka czekaniem jeszcze mniej sprecyzowanym — ot, pożyczała od kogoś dwadzieścia złotych i siedzą przez cały dzień w kawiarni, piją kawę, piją piwo i czekają — nie wiedzą na co. Takie czekanie jest rezultatem wadliwego działania mechanizmu psychologicznego. Jest to czekanie całkowicie puste. Inna odmiana jest czekanie na sprawę, o której wszyscy wiedzą, że nigdy nie nastąpi — oto matka wciąż czeka na syna, o którym wszyscy wiedzą, że umarł. Być może jest to czekanie na cud — wiara w potęgę własnej intencji, w moc uczucia, które przełamie prawa faktów. Człowiek, który dokonał szerokiej refleksji nad prawami czekania, przemienił niejako te procesy. Być może ucieszy go niekiedy żywe odczucie: „oto ma się zdarzyć to czy owo, ale ważniejsze od tego co się zdarzy, jest czekanie, emocja, niecierpliwość, radość czekania". Moje sekundy rozciągają się w minuty, godziny — doznaję monotonnej rozkoszy — jeszcze nie nadeszło to, co ma nadejść i tak jest dobrze, można odczuwać materialną potęgę czasu bez wymiarów. Ciągle słyszę miarowe, głośne tykanie i nagle stwierdzam kompletną nieobecność jakiegokolwiek zegara — to sople lodu topnieją na dachu i krople wody uderzają rytmicznie w parapet, a zegar... zegara nigdy tu nie było.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

KSIĄŻKA W SIECI (KSIĘGARSKIEJ)

NOWE ZJEDNOCZENIE — ZANIEPOKOJENIE WYDAWCÓW — A JA SIĘ DZIWIĘ! — CO ZYSKAMY? — PROPORCJE BYŁY DOBRE — ROZBICIE ŻELAZNEGO TRÓJKĄTA — CHCIAŁBYM SIĘ MYLIĆ

Od paru miesięcy mówiło się w kręgach księgarzy o planowanej fuzji „Domu Książki" z „Ruchem". Uważałem te pogłoski za typową plotkę, bowiem moja dość sprawna wyobraźnia nie mogła jakoś nakreślić wizji polskiego księgarstwa w gorsecie handlowym „Ruchu". Nic pewnego na ten temat nie wiedzieli także księgarze. To znaczy nie wiedzieli oficjalnie. Dopiero niedawno „Dom Książki" otrzymał pismo z nagłówkiem „Zjednoczenie Upowszechniania Książki i Prasy — Dom Książki — Ruch", z którego to nagłówka wynikało, że fuzja stała się faktem.

Czy nowa struktura księgarstwa może napawać optymizmem, czy budzić zaniepokojenie? Odpowiem cytatem z wystąpienia dyrektora Naczelnego Zarządu Wydawnictw („Nowe Książki" nr 23): „Zgłaszamy zaniepokojenie czy nowa struktura sieci księgarskiej nie ustawi nas pod nadmiernym dyktatem rynku, jeśli miałaby być naruszona zasada, iż nakłady książek — regulowane wprawdzie zamówieniami sieci — stanowią przecież połączoną z ryzykiem odpowiedzialności za nie własność wydawcy".

A więc zaniepokojenie. „Dom Książki" przechodzi z gestii Ministerstwa Kultury do resortu łączności. „Przyzwyczailiśmy się do kolejnych reorganizacji, przyjmujemy je bez zdziwienia, słuchając za każdym razem argumentów o oszczędnościach stąd wynikających, zarówno kiedy następuje łączenie, jak i dzielenie instytucji" — pisze „Życie Literackie". A ja się dziwię i nie przemawiają do mnie argumenty „oszczędnościowe".

„Dom Książki" tkwiąc w pionie Ministerstwa Kultury — tam, gdzie pisarze i wydawcy — był istotnym składnikiem w machinie upowszechniania książki. Był — niestety trzeba pisać o tym w czasie przeszłym — instytucją niezwykle zasłużoną. Jego wkład w upowszechnienie literatury jest olbrzymi. Mógł zrobić wiele i zrobił wiele.

A teraz? Wiemy, jaki jest profil handlowy „Ruchu". Książka i gazeta jest tam marginesem finansowym działalności — takim samym marginesem będzie książka w nowym przedsiębiorstwie. Mydło, woda kolońska, zabawki, papierosy, żyletki, a nawet cukierki zepchną książkę na plan dalszy... „Zostaną nadwerężone dotychczasowe doświadczenia księgarstwa" — pisze „Życie Literackie". I tu się zgadzam.

Co zatem zyskamy? Nowe punkty sprzedaży, rozszerzenie sieci? Niby tak, ale przecież „Ruch" także i przedtem mógł sprzedawać książki, robił to nawet w minimalnym stopniu, ale o obrotach przedsiębiorstwa nigdy nie decydowała książka, więc zawsze była „towarem" gorszym od papierosów, mydełek, czy żyletek. Czy fakt powołania w Warszawie nowego zjednoczenia zmieni dotychczasowy stosunek do książki w placówkach „Ruchu"? Naiwnością byłoby sądzić, że tak się stanie.

Czy zresztą naprawdę było tak źle z siecią handlową „Domu Książki"? Jest w Polsce ponad 1700 księgarni — 440 w miastach wojewódzkich, w powiatowych 681, a w pozostałych — 613. Zupełnie dobre proporcje.

Ale teraz — powie ktoś — będą jeszcze lepsze, bowiem doliczymy te 30 tysięcy punktów „Ruchu". Niestety. Gdyby przy istniejących nakładach, wciąż za małych na potrzeby czytelników, rozproszyć książki mechanicznie na te tysiące punktów, byłoby to marnotrawstwo. Poszukiwane i atrakcyjne tytuły żółkłyby za szybą kiosków gdzieś w zabitych deskami wioskach, ulegały po jakimś czasie przecenom — a księgarze w Warszawie, Łodzi, Wrocławiu, Krakowie — odpowiadaliby „nakład wyczerpany". Oczywiście to zjawisko istnieje i dziś, bo jest nieuniknione, ale przy rozproszeniu małych nakładów na ogromną sieć, jego efekty byłyby katastrofalne.

Ma więc głębokie uzasadnienie opinia dyrektora Centralnego Zarządu Wydawnictw, który mówi o zaniepokojeniu wobec nowej struktury księgarskiej. Przekazanie upowszechniania książki, a więc jednego z podstawowych zadań polityki kulturalnej, resortowi łączności, rozbicie trójkąta pisarz — wydawca — księgarz na dwa ministerstwa musi budzić niepokój o dystrybucję tego nietypowego, a jakże istotnego „towaru", jakim jest książka.

Decyzje zostały podjęte i piszę to wszystko raczej sobie a muzom. Może zresztą przesadzam, może się mylę, wietrząc niebezpieczeństwa w nowym układzie sieci księgarskiej? Jest to jeden z nielicznych wypadków, kiedy dziennikarz c h c i a ł b y się mylić, c h c i a ł b y, aby jego prognozy nie sprawdziły się w praktyce, żeby się okazało, że nie miał racji. Bardzo bym chciał, aby za rok mógł mi ktoś powiedzieć: „A widzisz, nie miałeś racji". No, cóż, poczekamy.

JERZY WIDOK

JIM NORBERT

CHCIWOŚĆ

Pielęgniarz Lawson był zadowolony ze swego zawodu. Podstępny, służalczy grubas lubił mieć do czynienia z ludźmi od siebie słabszymi, chorymi i cierpiącymi. Po kilku latach pobytu w szpitalu nabrał przekonania, że nie jest gorszy od lekarza. Mierząc chorym temperaturę, porządkując salę wydawał opinie na temat różnych lekarstw, stawiał chętnie zmyślone diagnozy.

Pewnego dnia na oddział ciężkich chorób przyniesiono Jima Smitha. Miał obie nogi złamane, przejechał go wóz ciężarowy, gdy przebiegał na drugą stronę ulicy.

Nowy pacjent podniecał ciekawość Lawsona do najwyższego stopnia. Dziwny typ ten Smith: chudy, około czterdziestoletni, oczy zimne, jak lód, twarz pozbawiona wyrazu. Natychmiast po wypadku umieszczono go na ogólnej sali. Po założeniu gipsu jego nogi wyciągnięte do sufitu tworzyły drukowaną literę V.

Kilka godzin później, gdy Smith był jeszcze pod działaniem środków znieczulających, zabrano go z sali i przeniesiono do komfortowej separatki. Okno wychodziło na ogród, mały przedpokój łączył się z korytarzem.

Lecz kiedy Smith oprzytomniał i zobaczył, że jest sam w pokoju, zareagował w sposób zupełnie niespodziewany. Zaczął przeciągle dzwonić, a gdy się zjawiła obsługa szpitala, krzyczał, żeby go natychmiast przenieść na salę ogólną. Główny pielęgniarz zdziwił się bardzo:

— Panie Smith, zapewniam pana, że tu jest o wiele wygodniej...

— Wiem, wiem, ale nie mogę sobie pozwolić na takie wydatki. Wyobrażam sobie ile mi każecie zapłacić!

— Proszę się nie martwić. Jakiś pan był w kasie szpitala i złożył wysoką sumę na pańskie nazwisko. Prosił o separatkę.

Lawson, który asystował przy rozmowie, postanowił to sprawdzić. Dowiedział się w biurze administracji, że istotnie jakiś nieznany mężczyzna złożył tysiąc dolarów na wydatki związane z leczeniem Jima Smitha.

Jednakże Smith domagał się ciągle przeniesienia na ogólną salę. Personel lekarski i pielęgniarze tłumaczyli to szokiem pooperacyjnym i przestali się przejmować żądaniami chorego. Wyjaśnili mu, że na sali nie ma wolnego łóżka.

Pewnego dnia Lawson został sam w pokoju chorego. Wycierając kurzę i zmieniając wodę w karafce zauważył, że Smith śledzi go. W pewnej chwili zawołał:

— Halo, grubasie, chodź no tu bliżej!

Lawson uśmiechnął się i przysiadł na łóżku.

— Pewnie już pan odzyskał siły, w przeciwnym razie nie nazwałby mnie pan grubasem.

Ręka Smitha wyskoczyła jak sprężyna i zacisnęła się koło szyi pielęgniarza.

— Bo mnie pan udusi — jęknął.

Chory rozluźnił ucisk i roześmiał się głośno.

— Jesteś oszustem, już cię gdzieś widziałem.

— Teraz jestem czysty — odpowiedział pielęgniarz. — Odsiedziałem cztery miesiące za kradzież samochodu.

— No tak. Cztery miesiące tu, cztery miesiące tam... Tak właśnie przypuszczałem. Słuchaj uważnie, idioto. Potrzebuję ciebie, musisz być posłuszny, jeżeli nie chcesz się narazić.

— Dobrze, proszę mi powiedzieć, czego pan sobie życzy.

— Chcę wyjść z tego przeklętego pokoju.

— Czy mogę zapytać dlaczego?

Smith zastanowił się przez chwilę, potem rzekł: — Ponieważ ktoś chce mnie zabić.

— Ach tak?

— Właśnie. Pamiętaj, masz trzymać gębę na kłódkę.

Lawson usiłował przybrać godną postawę. — Czy pan się nie myli? Zwracam uwagę, że to może być złudzenie pooperacyjne, jak my to nazywamy...

— Wy... kto? — szydził Smith. — Wy, złodzieje? Milcz, kretynie! Jak myślisz, dlaczego mam złamane nogi? Ponieważ uciekałem przed pistoletem. Jakiś typ został opłacony, żeby mnie sprzątnąć i czeka na najbliższą okazję. Prawdopodobnie on właśnie wpłacił tysiąc dolarów w szpitalu. Dla niego to wygodne, żebym został w pokoju, do którego każdy może wejść i wyjść swobodnie. Na sali zaś jest kilka osób i tam zbir nie osiągnie nigdy swego celu.

— Kto to jest ten... zbir? Jak się nazywa?

— To nie twoja sprawa.

— Dlaczego nie zwrócisz się do policji o pomoc?

— Nie gadaj głupstw. Zresztą — powiem ci wszystko i przestaniesz mnie nudzić. Ja i jeszcze jeden kompan zrobiliśmy poważny skok, lecz w momencie podziału zwiałem z tym łupem. Teraz mój dawny wspólnik szuka mnie z pistoletem w ręku. Jak ci się zdaje, czy takie rzeczy można opowiadać platfusom?

— Rozumiem... Lecz niestety na sali nie ma w tej chwili ani jednego łóżka wolnego.

— Trudno. Powiesz mi, gdy się jakieś znajdzie. Wynagrodzę cię za to.

Oczy Lawsona zabłysły chciwością. Przesunął rękę po obolałym karku i zapytał cicho: — W jaki sposób?

— Pozostawiając cię w spokoju. Będę pamiętał, że mi pomogłeś i jak wyjdę ze szpitala przyślę ci trochę dolarów.

— To niewielka obietnica.

— Czy wolisz dziurę w brzuchu?

— Dobrze, Smith, pomogę panu.

Lawson wyszedł z pokoju i udał się do baru położonego na przeciwko szpitala. Chciał zostać sam, żeby przemyśleć całą sprawę. Smith był typem niebezpiecznym, na pewno miał takich samych wspólników, nie można było lekceważyć jego słów. Poza tym wchodził tu w grę ten brakujący nóż. O tym wiedział tylko Lawson. Dwa dni temu, gdy wszedł do pokoju Smitha, żeby zabrać naczynia po śniadaniu zauważył natychmiast, że zginął duży nóż. Teraz zrozumiał, iż pacjent chciał sobie zapewnić broń dla ochrony przed napastnikiem.

Co do owego skoku mały mózg pielęgniarza gubił się w rozmaitych domysłach. O co tu mogło chodzić? Zapewne o duży łup. Smith nie wyglądał na kogoś, kto by marnował czas na drobiazgi. Na pewno toczy się tu walka o dużą sumę, chociaż z kartoteki szpitala wynikało, że Smith posiadał jedynie kilka dolarów, gdy oddawał swe rzeczy na przechowanie. Nie miał przy sobie nic wartościowego, nawet zegarka. A jednak...

Lawson doszedł do następującego wniosku. Jeżeli człowiek uzbrojony w pistolet ścigał Smitha, żeby go zabić, musiał być przekonany, że odzyska coś, co dawny wspólnik nosi przy sobie. Nie ryzykowałby przecież usunięcia człowieka, który jest jedynym źródłem informacji. A co mógł schować przy sobie Smith? Klejnoty! Diamenty, perły i inne drogocenne kamienie zaszyte w podszewce marynarki. Może też posiadać narkotyki... małe torebeczki rozrzucone tu i tam.. na przykład heroiny...

W każdym razie, cokolwiek posiada, należy to znaleźć. Ale żeby znaleźć trzeba zrewidować jego ubranie. Zadanie nie było łatwe, gdyż pacjent niewiele spał w dzień, a zupełnie nie spał w nocy. Za dnia z tą ciągłą krzątaniną lekarzy i obsługi sprawa nie uda się. Wieczorem... Był także ten nóż...

Po namyśle Lawson zdecydował, że nie należy przejmować się zbytnio nożem. Cóż do diabła mógł zrobić unieruchomiony kaleka z taką bronią? Nic, chyba, że przeciwnik zbliżyłby się do łóżka. Lecz to trzeba wykluczyć, ponieważ szafa z ubraniem stała po przeciwnej stronie pokoju, naprzeciw łóżka.

Lawson wrócił do szpitala i zamknął się w swojej izdebce. Wyciągnął się na łóżku i marzył: klejnoty... narkotyki. Wiedziałby, gdzie to upłynnić w niedługim czasie. Zanim pacjent będzie mógł opuścić szpital, on już znajdzie się daleko, w Europie, lub na wyspach mórz południowych. Dość tego nędznego życia, które dotąd prowadził! Powracały ambicje duszone przez tyle lat. Tak, zaryzykuje wszystko. Nawet gdy Smith zobaczy go w chwili kradzieży łupu, co może uczynić? Czy zwróciłby się do policji? Na pewno nie. Trzeba teraz ustalić dzień i godzinę, lepiej działać powoli i ostrożnie — myślał Lawson.

Tymczasem rozwiązanie problemu przyszło samo, prawie spontanicznie, dziesiątego dnia pobytu pacjenta w szpitalu. Lawson stał właśnie przy jego łóżku żeby zmierzyć temperaturę, gdy główny pielęgniarz wszedł do pokoju.

— Panie Smith. — oznajmił z radością. — Nareszcie mogę pana zadowolić, chociaż nie podzielam pana gustów. Zwolniło się łóżko na sali i jutro każę tam pana przenieść. Dobrze?

— Dziękuję bardzo — ucieszył się Smith.

W tej samej chwili Lawson zrozumiał, iż nie może już odkładać sprawy: tej nocy lub nigdy. Jutro Smith zostanie przeniesiony na ogólną salę, jego ubranie zamkną we wspólnej szafie, której pilnowała szatniarka. Musi pospieszyć się, nie ma przecież wielkich trudności do pokonania. Ostatni obchód codziennej kontroli lekarskiej odbywał się o północy, a później aż do świtu, czyli do godziny 5 pacjenci swobodnie odpoczywali. Właśnie w ciągu tych pięciu godzin musi wszystko załatwić...

Trzy kwadranse po północy Lawson opuścił swą izdebkę, prześliznął się wzdłuż korytarza, cicho, w butach na gumowych podeszwach. Zbliżył się do separatki Smitha, wszedł do przedpokoju i pchnął delikatnie drzwi wejściowe. Usiłował przyzwyczaić oczy do ciemności.

Smith już od trzeciego dnia swego pobytu w szpitalu obliczył z matematyczną pewnością, że trzeba było pięciu kroków, żeby przejść odległość między drzwiami pokoju a przednią poręczą łóżka, na której wisiała karta chorobowa. Nie powinien pozwolić, żeby Albert Green podszedł za blisko. Wymierzy w niego nożem dokładnie w tym punkcie, gdzie nogi, zawieszone na suficie w formie litery V pozostawiały szeroką, otwartą przestrzeń...

Teraz, leżąc na wznak, nieruchomy, w półmroku pokoju czekał jak każdej nocy. Nagle zobaczył, że firanki okna lekko się poruszyły. Zdarzało się to wówczas, gdy ktoś otworzył drzwi i powstawał przeciąg. Uśmiechnął się szyderczo i przygotował do ataku ściskając mocno w pięści nóż. Nie rozróżniał prawie nic, lecz to go nie obchodziło. Jedyne, co powinien czynić — to liczyć: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...

Rzucił nóż z całej siły w wolną przestrzeń między swymi rozkraczonymi nogami. Usłyszał zduszone rzężenie. Potem huk przerwał ciszę. Lawson upadł na podłogę z nożem wbitym w pierś.

Smith śmiał się histerycznie. Uniósł się na łokciu, aby zobaczyć leżące ciało.

— Przeklęty bękarcie! — złorzeczył głośno. — Myślałeś, że będę czekał na śmierć ze złożonymi rękami? Nie ci się nie uda, Albercie, ze sprytnym Jimem. Byłeś za głupi, żeby to zrozumieć.

Upadł zmęczony na poduszki. Dyszał, póki nie przyszedł do siebie całkowicie. Wówczas w półmroku zobaczył, że znów firanki w oknie poruszyły się. Ktoś otworzył drzwi.

Krew napłynęła mu do mózgu, usiłował krzyczeć, lecz tylko jedno słowo wypłynęło mu na usta:

— Albert!

— Tak, Jim — odpowiedział złowrogi głos. — To ja, Albert Green.

Oprac. A. S.

Rys. A. Grun

Lewym okiem

W ZWIĄZKU Z BRATEM WIELKIEJ TANCERKI

Wszyscy interesujący się życiem kulturalnym, sztuką w jej najróżniejszych przejawach, dziejami sztuki — wiedzą, kim była Isadora Duncan. Sławna amerykańska tancerka, wielka miłość i żona rosyjskiego poety, Jesienina, sięgnęła po klasyczne tradycje tańca greckiego i na jego motywach oparła własne, twórcze koncepcje tańca nowoczesnego. Tańczyła we wszystkich metropoliach świata, imię jej zapisano w wielu encyklopediach i almanachach.

Mało kto słyszał o bracie wielkiej artystki, Raymundzie. On też przejął się kulturą klasyczną. Przejął się tak konsekwentnie, że z grupą młodych a zamożnych ludzi, przeważnie Amerykanów, założył w Paryżu (!) kolonię grecką, żyjącą ściśle według praw i obyczajów, zaczerpniętych z Odysei Homera. Pisał o tym Jerzy Stempowski przed trzydziestu pięciu laty w kwartalniku „Marchołt": „Naśladowcy mądrego Odysa i wiernego pasterza Eumaja zamieszkali w samym środku Paryża, w Quartier Latin, gdzie wynajęto obszerny lokal sklepowy. Przez wielkie witryny zdziwieni przechodnie widzieli izby przybrane dziwacznymi tkaninami, pośród których młodzi Anglosasi w strojach starożytnych tkali na krosnach płótna lub wiązali w drobne węzełki sieci rybackie, ściśle według wskazówek archeologii homeryckiej."

Było to więc coś w rodzaju happeningu, zabawy dorosłych w coś tam. Jeżeli wspominam tutaj tę błahą ciekawostkę, to dlatego, że widzę w niej dowód wielkiej plastyczności starożytnego poematu, tak sugestywnej, że można było naśladować żywcem, ze wszystkimi szczegółami, całe fragmenty opisanych scen bytowych; opisanych, a nie ujętych w formę dramatyczną, gotową do odegrania. I jeszcze widzę w tej ciekawostce dowód, jak żywo i dosłownie kilkadziesiąt lat temu przeżywano literaturę, nawet tę bardzo odległą, spatynowaną, starożytną.

Mogę sobie wyobrazić kolonię, realizującą dziś, na co dzień, styl życia z powieści balzakowskich. Można by przez parę tygodni chodzić po Warszawie — umówiwszy się z gronem krewnych i przyjaciół — w skórze Adasia Solskiego z „Emancypantek", można by bawić się w Uriaha Heepa z Dickensa (przy trochę kosztownych rekwizytach, jak karety, złote tabakierki i — koniecznie — lokaj w peruce), lub w Twain'owskiego Huckleberry Finna z niezapomnianej podróży po Mississippi — no, niech by po Narwi. Można by dlatego, że w tych książkach żyje skondensowany, sugestywny genius temporis, duch tamtych czasów, duch materializujący się w szczegółach namacalnych, zrozumiałych, konkretnych.

A gdyby tak ktoś za pół wieku chciał poobcować na co dzień, dla zabawy czy z innych, jemu tylko znanych powodów, z duchem naszego czasu — na jakiej oparłby się literaturze? Najlepsze współczesne powieści — mówię w przekroju wielkiej literatury światowej, nie tylko naszej — dzieją się poza czasem i poza konkretnym miejscem na ziemi. Zawierają genialne analizy stanów świadomościowych, stanów spod, sponad i spoza świadomości. Albo odwrotnie: epatują drobiazgowym grzebaniem się w tym, co jest wynaturzeniem naszej epoki, jej marginesem, egzotyką, archaizmem lub karykaturą. To są często świetne dzieła, które na pewno przetrwają. Dobrze, że są, wzbogacają naszą samowiedzę, rozszerzają ją do granic, poza którymi zaczyna się niepokój i groza. Obok nich jakże nam jednak brak syntetycznej wizji naszego świata! Takiej właśnie nie zaszyfrowanej, tylko sugestywnej, mocnej, jednoznacznej; czytelnej za lat dwadzieścia i pięćdziesiąt. Dalej nie sięgam wyobraźnią, pięćdziesiąt lat w naszych czasach to więcej, niż sto wieków poprzednich. Czy zostaną po naszych pokoleniach takie książki?

Czy nasz starzejący się syn lub dorastający wnuk, sięgnąwszy po zbiór starych fotografii, znajdzie w nim setki arcyślicznych ujęć, pełnych świateł, cieni i refleksów, zachwycających proporcją plam i konturów, brył i płaszczyzn, planu i tła, barwy i nastroju, czy też nagle zatrzyma jego wzrok ludzka, zwyczajna, piękna lub szpetna, kochana lub nielubiana twarz ze wszystkim tym, co na jej widok budzi się gwałtownie w środku człowieka?

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 99. S-10.